Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 8. Sierpnia 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 32.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

(Ciąg dalszy).

VI.

Szpinka.

Wyobraźmy sobie ptaszka, który bujał przez życie całe swobodnie i w najpiękniejszej wiosny porze do klatki się dostał. Coś podobnego spotkało Krzysię Łączyńską. Zamiana domu rodzicielskiego na pałac wojewodziński i opieki bratowej na opiekę wojewodziny, była tem, czem jest zamiana każda dla młodej dziewczyny: nowością, która ją w chwilach najpierwszych zastanowiła, dziwiła i zajmowała. Wychowana bogobojnie — niebogobojnie nie wychowywano wówczas, dziewcząt zwłaszcza — modłów i praktyk religijnych ani się lękała, ani wstręt do nich miała. Owszem, podobały się jej one. Klasztor nawet, otaczany w czasie owym urokami wszystkiemi, jako furta szczęśliwości wiecznej, jako piedestał podniesienia duszebnego, nęcił ją ku sobie. Pociągał on atoli bardziej ponętą ciekawości aniżeli magnetyzmem powołania. W dwóch razach byłaby się ku klasztorowi pogarnęła: gdyby miała komu na przekór zrobić; albo też, gdyby ją od dzieciństwa, jak np. wojewodzinę i siostrę jej, w tym a nie żadnym innym prowadzono kierunku. Jej zaś tymczasem ani prowadzono, ani dokuczano. Kochana, pieszczona, rosła na swobodzie, mając przed oczami przykłady bogobojności zwyczajnej, opierającej się na regule: »oddaj Bogu, co boskie, cezarowi, co cezara« — i nie maceruj ani ciała, ani sumienia. Nie uważała za występek pośmiać się, poswawolić i — nie przy pacierzu, rzecz prosta — myślą drażnić się z owym bożkiem skrzydlatym, którego starożytni uczynili protektorem miłości. Nie była jednak ani wietrznicą, ani zalotną. Broń, Panie Boże! Szesnaście lat miała, nikogo jeszcze nie kochała, albo raczej kochała kogoś, ale kogoś takiego, co to nie posiadał ani imienia, ani nazwiska, ani ciała, ani duszy, mimo to jednak był chłopcem jak malowanie, którego ona pokochać była gotowa duszą całą i stać się dla niego aniołem na życie całe. Krzysia szła drogą naturalną, spokojną, swobodną — odmawiała pacierz rano i wieczór, spowiadała się raz około Wielkiejnocy, umiała katechizm na pamięć na wyrywki — czytała płynnie na książce do nabożeństwa, pisała całe nieźle, rachowała tak, że dzielenie chyba tylko w kłopot ją wprawiało, zresztą we względzie piosneczek mało która dziewczyna sprostać by jej mogła, umiała tego bez liku. Z piosenek tych, z życia na wsi, z obcowania z ludem urobił się w niej kierunek, równoległy do tego, w jakim szła moralność patentowana, polegająca całkowicie na spekulowaniu na cnotę, dzieloną na rodzaje i gatunki, celniejsze i podlejsze. O tem ostatniem wyobrażenia najmniejszego nie miała. I dla tego też to zapewne ojciec ją pod opiekę wojewodziny oddał.

Starościanka buska — tak ją tytułowano — przyjętą została na dworze wojewodzińskim z należną zajmowanemu przez ojca jej stanowisku dystynkcją. Miała pokoik swój oddzielny i do usług pannę służącę osobną. Przy stole zajmowała miejsce bliżej pani domu. W kościele obok wojewodziny siadała.

Rozstanie z ojcem nie wywarło na nią wrażenia szczególnego. Starosta bywał w domu gościem — kochała go, ale przywiązać się do niego nie miała ani czasu, ani możliwości. Popłakała więc troszkę i uspokoiła się prędko, zwłaszcza że roztargnienie wielkie sprawiło jej przygotowanie do spowiedzi. Ojciec Bernet potrafił Krzysię tak przygotować, że dziewczyna zdumiała się sama sobie, dowiedziawszy się, jaką to ona jest grzesznicą. Spowiedź też przyniosła jej ulgę ogromną. Po odbyciu onej wydało się jej, jakoby na nowo na świat przyszła. Tak jej było lekko, tak słodko! Wojewodzina uściskała ją, i ona się w objęciach jej, łzami zalała.

Nastąpiło wnet zapisanie dziewczyny do bractw rozmaitych i wtajemniczenie w obowiązki nowe.

Pełnienie obowiązków odbywało się wspólnie.

Opowiedzieć trudno, jak żywo wszystko to Krzysię zajmowało.

Fraucymer wojewodziny, liczny i dobrany, składał się z panien dobrego rodu, którym ona przewodniczyła na drodze cnoty, rozdwajającej się według niej, dzielącej się na pewną i niepewną. Ta ostatnia świeciła wyłącznie w murach klasztornych. Mawiała nieraz o sobie: »Cobym ja za to nie dała była, żebym była w panieńskim stanie do śmierci Bogu mojemu służyć mogła« (Niesiecki, wyd. Bolr.). Dla tego też usiłowanie jej całe skierowywało się głównie ku temu, ażeby wśród powierzonych pieczy jej panienek rozbudzać powołanie klasztorne. Usiłowanie to nie pozostawało bez następstw. Od czasu do czasu ta lub owa, podawała się na oblubienicę Chrystusa.

I wówczas...

Wówczas wojewodzina siebie i dwór cały nastrajała na ton podniosły radości uroczystej. Nastrój ów nic sztucznego nie miał w sobie; owszem, o ile był szczery,

o tyle naturalny, wypływający bezpośrednio ze stanu tej ekscytacji ustawicznej, w jakiej utrzymywała wyniszczoną postami i zmartwieniami ciała a rozdrażnioną modlitwami osobę własną. Na wieść o okazaniu przez którą z panien powołania klasztornego, wojewodzina doznawała rozradowania nieopisanego, a z głębi serca idącego. Płakała, kandydatkę do stanu panieństwa wiecznego pieszczotami obsypywała i obrzędowi obłóczyn cechę jak najsolenniejszą nadawała. Apartament jej przystrajał się w kwiaty, brzmiał hymnami dziękczynnemi, napełniał się szeptem modlitw ustawicznych. Gdyby jeno rzeczy szły tak, jak ona życzyła sobie, to w Polsce nie pozostałoby zgoła panien na oblubienice dla ludzi.

Pan Bóg jednak nad Polską czuwał. Najprzód, majątek wojewodziny, acz ogromny — składał się bowiem z wielkiej fortuny Kazanowskich wlanej do fortuny Jabłonowskich — nie wystarczyłby na klasztorne wyposażenie wszystkich panien na wydaniu; powtóre, pomiędzy pannami nawet, dostającemi się pod wojewodziny opiekę, powołanie do żywota klasztornego objawiało się wcale nie często. Ksiądz Bernet przypisywał to temu, że »nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego nie próżnuje.« Owóż nieprzyjaciel ów, odrywał myśli panienek od rzeczy niebieskich do ziemskich i zwracał je ku szatanom, występującym pod postacią dworzan wojewody. Nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego pośredniczył westchnieniom, spojrzeniom, spotykaniom się, zamianie słówek, wymianie liścików etc. etc. Zamek posiadał schody, sionki, ogrody, zakątki, ciasne różne przejścia i okrywał dachem jednym zarówno, tak dwór niewieści, jak dwór męzki. Wojewodzina ten ostatni chętnie by z zamku, z miasta, z kraju nawet wywołała; lecz we względzie tym zachodziły przeszkody nie do przełamania. Ku wielkiemu jej zmartwieniu pupilki częściej aniżeli do klasztoru szły za mąż. W razie takim nie było uradowania: zamiast hymnów dziękczynnych, brzmiały psalmy pokutne, pogrążano się w smutku i błagano Pana o przebaczenie. Posagi, z jakiemi wojewodzina oddawała panny swoje oblubieńcom śmiertelnym, wynosiły połowę tego, co posagi klasztorne.

Krzysia w ciągu jednorocznego w zamku pobytu wtajemniczyła się w cały tryb życia. Asystowała i obłóczynom i wyprawom za mąż — pierwsze trafiły się raz, drugie razy cztery. Zafrapowało ją to, że panienki za mąż idące rade temu były, mimo smutku, z jakim je z zamku wyprawiano. Zastanawiała się nad tem, rozmyślała, rozważała i, mimo wszystko, co widziała i słyszała, przedstawiać sobie nie mogła zamążpójścia w barwach tak czarnych, jakiemi je wojewodzina malowała.

— Zależy to od gustu... — powiadała sobie.

I nie przyznawała się do gustu klasztornego.

W rok po ulokowaniu jej pod skrzydłem wojewodziny, dowiedział się do niej ojciec i, pozostawszy z nią sam na sam, zapytał:

— Cóż więc... podobasz tu sobie?...

— Bardzo, tatku... Pani dobra taka...

— Najpobożniejsza i najzacniejsza...

— Namawia nas wszystkie do klasztoru...

— Masz ochotę?... — starosta na to.

— Nie wiem, tatku... — odpowiedziało siedmnastoletnie dziewczę, strojąc minkę odpowiednią.

— Jeżeli ochotę masz, ja się sprzeciwiać nie będę; jeżeli nie masz, nie idź... W każdym razie zastanów się dobrze... W klasztorze bez powołania grzeszyć można bardziej, aniżeli na świecie... Na świecie niewiasta zdobywa sobie niebo, gdy jest uczciwą... Uczciwość przedewszystkiem... Przecież do klasztoru iść nie mogą kobiety wszystkie!....

Krzysia zakarbowała sobie w pamięci słowa ojcowskie i przykładała je do nauk wojewodziny. Ostatnie zwłaszcza na umyśle jej wrażenie sprawiły.

— Czemu nie idą do klasztoru kobiety wszystkie?... — zadała sobie zapytanie.

— Klasztorów nie ma tyle... — odpowiedziała na razie.

Następnie jednak, zastanawiając się nad tem, przychodziła do wniosków, niezgodnych z prawdami, podawanemi przez wojewodzinę, która na nią zawsze bardzo była łaskawą i którą ona jak świętą czciła.

Wiedziała już bowiem i o pasku, i o manelkach i o biczowaniu się.

Patrzała na jej nabożność, uczynność, miłosierność, pokorę.

Towarzyszła jej w odwidzaniu chorych, kalek i więźniów.

O wszystkiem wiedziała już i dla tego wojewodzinę na równi ze świętą czciła.

Odwidzanie chorych szczególnie cześć w niej dla świątobliwej wzbudzało pani.

To ostatnie w następujący zazwyczaj odbywało się sposób. Wojewodzina udawała się do chorego w asystencji jednej z panien, która niosła za nią puzderko z lekarstwami; przychodziła, rozpytywała, radziła, pocieszała i lekarstw z flaszeczek udzielała. Co do lekarstw, trafiała zazwyczaj cudownie; że jednak trafiać umiała i tak, iż zaaplikowała środek wręcz chorobie przeciwny, to rzecz naturalna. We względzie tym spuszczała się na natchnienie — na intencję. W czasach owych i lekarze kierowali się natchnieniem i intencją. Anatomja znajdowała się w pieluchach; fizjologja błąkała się po manowcach, zaznaczonych przez Paracelsów, Van Helmontów; medycyna wierzyła w *aura vitalis*. Wojewodzina nasza o anatomji, o fizjologji, wyobrażenia nie posiadała najmniejszego; medycynę atoli praktykowała z sumieniem najczystszem — prawda, że praktykowała ją wyłącznie na ubogich, dla których wyprawienie na tamten świat dobrodziejstwem bywa niekiedy. Co się ubogich jednak tyczy, we względzie tym nie czyniła różnicy w odniesieniu do wiary i wyznania. Spieszyła z pomocą do wszystkich zarówno, do pogan, do żydów nawet, do których czuła żal wielki za Chystusa pana.

Czuła do nich żal wielki, ale żal świątobliwy niewiasty chrześcijańskiej, ratującej nie tylko ciała ich od choroby, ale oraz i dusze od zatraty wieczystej. Żydów, których znajdowała konających, chrzciła sekretnie. Na ten cel w puzderku miała zawsze we flaszeczce wodę święconą, którą choremu lub chorej głowę polewała, wymawiając po cichu wyrazy sakramentalne: »Chrzczę ciebie Janie, Katarzyno i t. p. w imię ojca i syna i ducha świętego.« W sposób ten nie mało Janów, Katarzyn, etc., wysłała do królestwa niebieskiego. Zdarzało się jednak, że chory do zdrowia przychodził. Przytrafiało się to z dziećmi zwłaszcza. Żydziątko ochrzczone zdrowiało i dziecko to chrześcijańskie pozostawać miało w otoczeniu i pod opieką nieprzyjaciół Chrystusa. Dla pobożnej pani było to zmartwieniem wielkiem. Czuła się w obowiązku zapobiegania złemu za pomocą ratowania duszyczek zagrożonych ze szpon szatańskich, ku czemu nastręczały się jej dwa jeno sposoby: albo, drogą układów dobrowolnych, kupowała żydzięta ochrzczone u rodziców — na co szły summy neapolitańskie; albo też wykradać je kazała i na wychowanie po klasztorach rozsyłała — co także nie obchodziło się bez kosztów znacznych. Z tego powodu wojewodzina pozostawała w ustawicznych z żydami konszachtach i procesach. Żydzi, słabość jej znając, bez miłosierdzia takową wyzyskiwali, jak, około tegoż prawie czasu wyzyskiwali Marcjana Radziwiła, który przyjął religię żydowską. Podsuwali jej bachorki swoje do wykradania i potem, na drodze procesu, grube sobie płacić kazali wykupne.

Manipulacja ta narażała wojewodzinę na nieprzyjemność nie jedną. Do wykradania żydziąt wchodzić musiała, bądź bezpośrednio, bądź też przez kogoś trzeciego, w styczność z szatanami, czyli, z członkami męzkiej domu swego połowy. Na polu tem płeć męzka jednoczyła się z niewieścią w utajeniu niejakiem, pociągającem za sobą pomijanie praw przyzwoitości, przestrzeganych zazwyczaj na dworze wojewodziny bardzo *stricte*.

Zdarzyło się raz, że do zdrowia przyszedł przez wojewodzinę leczony i ochrzczony najmłodszy synek złotnika, z którym stosunki niekiedy miewał fraucymer zamkowy. Zdaje się, przyczyną, dla której chłopczyna nie umarł, było to właśnie, że żadnego nie dostał lekarstwa. Chłopak miał lat dwa niespełna. Ojciec, któremu okup proponowano, o niczem słuchać nie chciał. Ofiarowano mu, dla niego pieniądze, dla syna szlachectwo z przyjęciem do Jabłonowskich herbu i nazwiska. Nie poruszało go to wcale. Że zaś żyd nie należał do najbiedniejszych, więc pochwycenie mu dziecka przedstawiało trudności niejakie, które obejść należało. Prób parę wypadło niepomyślnie. Należało wziąć się do rzeczy zręcznie, działając przez osoby złotnikowi nieznane. Zdarzenie chciało, że nieznanych żydowi było ludzi dwoje, którym, w mniemaniu wojewodziny, można było tę ważną poruczyć misją a to: staróścianka buska i świeżo przybyły, tytułowany podstolicem wołyńskim, niejaki Ło-

boda, szlachcic zagonowy, człek młody, przebijający się w świecie. Marszałek dworu, który brał udział w stosunkach z żydami i traktował o wykup ze złotnikiem, naraił go wojewodzinie:

— Czy się podejmie tylko?... — zauważała.

— A!... któżby się czego nie podjął, ażeby jeno pozyskać łaski jaśnie wielmożnej pani!...— odparł dworak z przyciskiem odpowiednim.

Wojewodzina wezwała Krzysię do siebie.

— Mam ci, moje życie, ważną, bardzo ważną powierzyć sprawę... Srul nie chce dziecka oddać dobrowolnie, za pieniądze żadne... Nie można, nie godzi się duszy zaprzepaszczać... Znasz imć pana Łobodę?...

— Z widzenia — odrzekło dziewczę.

— Potrzeba żebyś się z nim umówiła i ułożyła co do sposobu uratowania dziecka...

Krzysia uczuła gorąco w twarzy. Niegdyś, w ojcowskim domu, mówiła z młodymi ludźmi swobodnie. W zamku, przez ciąg dwóch lat blizko, było to jej wzbronionem, niby owoc zakazany. Myśl sama umawiania się i układania z imćpanem Łobodą, mającym lat dwadzieścia pięć i minę dziarską, napełniała ją nieokreślonym jakimś niepokojem. Umawiać się? układać? — jak to zrobić? Nie było jednak rady. Pan Łoboda nadszedł niebawem, wojewodzinę pozdrowił pokłonem nizkim i ofiarował jej służby swoje. Wojewodzina w kilku słowach przedstawiła mu rzecz całą i odeszła. Młody człowiek skłonił się Krzysi — i ta, dygnąwszy, raka spiekła, co się zaś sprawy tyczy, nie wiedziała, z której do takowej przystąpić strony. Wyprowadził ją z kłopotu Łoboda.

— Cóż, mościa starościanko, jakże my rzecz tę urządzimy?.. Nigdym jeszcze w życiu żydom bachorów nie porywał;...

Krzysia miała na języku powiedzenie, że i ona nie porywała. Powściągała się jednak.

— Hm!... — mruknął, zastanawiając się.

Krzysia z ukosa na niego spojrzała. Nie zrobił jej nieprzyjemności widok młodego szlachcica, w kontuszu, z ręką jedną za pasem, z palcem u czoła, pogrążonego w medytacji nad planem wyprawy po Srulowego synka.

Milczał czas jakiś; odezwał się wreszcie:

— Nie ma co... Nie można planów kreślić bez rozpoznania gruntu... Pójdę do żyda pod pretekstem kupienia szpinki i zobaczę... Kiedyż i gdzie my się zejdziemy?...

— Kiedy i gdzie?... — powtórzyło dziewczę, podnosząc na młodego człowieka zdziwione nieco oczy.

Zdziwiło ją to zapytanie.

Spojrzenie to wywarło na niego wrażenie.

— Kiedy i gdzie?... — rzekł po chwilce. — Tu chyba... w tej komnacie... Niech jeno jejmościanka raczy uprzejmie czekać na mnie... Powrócę niebawem...

To rzekłszy, oddalił się. Krzysia poskoczyła do drzwi przeciwległych, niby sarna spłoszona. Na progu jednak zatrzymała się, powróciła i sama się dziwowała sobie co się jej stało. Uciekać chciała, kiedy Łoboda wyszedł — dla czego? Śmiać się jej chciało. O cóż bo tu chodzi? Nie o co innego, jeno o sprawę ważną. Wojewodzina dała jej dowód zaufania wielkiego, wkładając tem samem na nią obowiązek odpowiedzenia zaufaniu godnie. Brała to na uwagę. Czuła potrzebę zastanowienia się nad sprawą, i pozostając w komnacie, w oczekiwaniu na powrót Łobody zastanawiała się, myślała — myślała jednak, nie o żydku, ale o Łobodzie. Usiłowania wszelkie zwrócenia uwagi na przedmiot danego jej do rozwiązania zadania obracały się w niwecz. W głowie uparcie tkwił Łoboda i Łoboda. Choć siadaj i płacz! Płakać wszakże nie było czego. Czekała na powrót młodego człowieka. Czekając, nie wiedzieć z jakiego powodu, serce jej niby młoteczek biło.

— Więc i cóż!... — perswadowała sobie od czasu do czasu.

Nie było go dłużej niż godzinę. Powrócił wreszcie, do komnaty wszedł — Krzysia oczy spuściła — zbliżył się, obok usiadł i rzekł:

— Nie dosyć raz... Rozpatrzyłem się powierzchownie, i dla tego żeby mieć pretekst, dałem Srulowi do naprawy klamerkę... Szpinkę zaś kupiłem...

To mówiąc, podał Krzysi szpileczkę z główką turkusową, którą ona machinalnie do ręki wzięła. Gdy mu jednak oddać chciała, wstał i powiedział:

— Niech u jejmościanki zostanie, od Łobody na pamiątkę...

I odszedł. (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA DRUGA.

CHMIELIŃSKI.

(Ciąg dalszy)

III

Treść: Obóz w Dorchlinie — Iskra i jego aresztowanie — sąd i wykonanie wyroku — bitwa pod Małchowem — odpoczynek w Rogienicach — rozdzielenie oddziału — Neuman z kawalerją — utarczka pod Stawami — Markowski obejmuje dowództwo.

Z Rudnik wyszliśmy do Kluczeska na drugi dzień rano i popasłszy koni, wróciliśmy z powrotem przez Kurzelów do Rudnik, gdzie Chmieliński spodziewał się zastać swoją piechotę. Moskwa była ciągle w bliskości i zgubiony na chwilę ślad nasz, starała się koniecznie odszukać. W Rudnikach nastąpiło rzeczywiście połączenie się z piechotą, która po dwudniowym odpoczynku przychodziła po trosze do siebie. Liczba jej nie przechodziła 300 ludzi, i chcąc się odsunąć dalej od nieprzyjaciela, wyruszyliśmy do Drochlina. Tutaj Chmieliński postanowił odpocząć dłużej i przyprowadzić do porządku swój oddział.

O małe pół milki od nas, stał ze swym oddziałem Iskra. Nie wiedzieliśmy, że Chmieliński miał polecenie Rządu Narodowego złożyć na niego sąd wojenny i w razie przekonania go i dowiedzenia zarzucanych mu przekroczeń, ukarać śmiercią. Na trzeci dzień naszego pobytu w Drochlinie, Chmieliński posłał wezwanie do Iskry, zapraszając go, aby przybył niezwłocznie w interesie nader ważnym i niecierpiącym zwłoki. Iskra przybył, ale czy to miał jakieś podejrzenie, czy przeczucie nieosobliwe, czy też po prostu uważał za stosowne, jako dowódzca osobnego oddziału, otoczyć się świtą, dosyć, że przybył w asystencji całej swej kawalerji, wynoszącej około 50 ludzi. Na wstępie i bez żadnych ogródek, Chmieliński oświadczył mu cel wezwania, nadmieniając przytem, że wyznaczony przez niego sąd wojenny, po dokompletowaniu dwoma członkami, wybranymi z własnych Iskry żołnierzów, już jest zebrany i oczekuje na rozpoczęcie swoich czynności. Zmięszał się na tę wiadomość Iskra i zażądał polecenia Rządu Narodowego, które przeczytawszy, oświadczył, że wcale nie przyznaje się do czynionych mu zarzutów, że oczerniono go jak najhaniebniej w oczach Rządu Narodowego, i nakoniec nie uważa za stosowne, aby równy mu stopniem miał go sądzić. Otaczający go zaś ludzie oznajmili, że nigdy nie dopuszczą, aby uczyniono najmniejszą krzywdę ich dowódzcy. Ale odpowiedź podobną Chmieliński przewidział i gdy Iskra po danej odpowiedzi zabierał się do wyjścia, ujrzał przed sobą rząd bagnetów, zagradzający mu drogę. Odwrót więc był niemożebnym, tem więcej, że ludzie Iskry zostali otoczeni i rozdzieleni ze swym wodzem. Chmieliński zaś, wydobywszy rewolweru i zwróciwszy się do upornych, zawołał, że na najmniejszy opór, stawiany przez nich prawnym rozporządzeniom Rządu Narodowego, których on jest wykonawcą, w łeb strzeli każdemu.

Determinacja ta, jak również niemożliwość oporu, wywarła uspokajający wpływ na otoczenie Iskry, niedawno tak stanowcze i burzliwe — pokornie odpowiedzieli, że jeżeli to jest wolą Rządu Narodowego, to oni, jako dobrze życzący krajowi, nie chcą okazywać się nieposłusznymi i być powodem rozruchów. W parę godzin potem, sąd wojenny, na którym prezydował kapitan Tylman, przekonawszy się o istotnych i niezaprzeczonych przekroczeniach i oburzających ludzkość gwałtach, popełnionych przez dowódzcę oddziału Iskrę, wydał na niego wyrok śmierci przez rozstrzelanie — który niezwłocznie został wykonany.

W ostatniej chwili Iskra oprzytomniał i poszedł śmiało na plac śmierci. Aczkolwiek o nadużyciach jego wszyscy byli przekonani, jak również, że wydany wyrok jest słusznym i sprawiedliwym, jednakże z uwagi na jego młodość, brak doświadczenia i w ogóle litość nad nieszczęśliwym, mnóstwo było wstawiających się do Chmielińskiego o złagodzenie wyroku i wcielenie do szeregów jako prostego żołnierza — lecz Chmieliński okazał się niewzruszonym, tę podając przyczynę, że nie jest mocen łamać postanowień i wyroków sądu wojennego, sprzeciwiać się woli Rządu Narodowego i tolerować nadużycia i bezprawia. Aby uniknąć dalszego

natręctwa proszących, kazał przyśpieszyć wykonanie wyroku o pół godziny, co też i spełniono.

Iskra, właściwie Sokołowski, był zdaje się oficerem wojsk rosyjskich. Kto zaś on był w gruncie rzeczy, szczegółowa przeszłość jego i z kąd rodem, o tem nikt mnie należycie objaśnić nie mógł. Po wykonaniu wyroku, niezwłocznie sprowadzono resztę oddziału nieboszczyka, składającą się z piechoty dobrze uzbrojonej, ale jak to już wyżej powiedziałem bez najmniejszej subordynacji i porządku. Z połączenia tych dwóch oddziałów jak i napływu rozbitków z różnych stron się ściągających, Chmielińskiego oddział wzrósł w siłę znowu. Liczył teraz przeszło 600 piechoty i 150 koni kawalerji.

Czwartego dnia naszego pobytu w Drochlinie, Chmielnicki odebrał wiadomość o ruchach Moskwy, ciągnącej na nas z dwóch stron z Piotrkowa i Kielc, ale wieści te były tak niejasne, tak niepewne, że zostaliśmy na miejscu i Chmieliński zajął się ćwiczeniem nowo wcielonej piechoty. Naraz wysłany podjazd wraca z wiadomością, że nieprzyjaciel o dwie wiorsty. Zwinęliśmy natychmiast obóz i uszliśmy do Małchowa, wioski oddalonej może o milę. Stanąwszy tam, zaraz ujrzeliśmy cwałujących kozaków i pojawiającą się na furmankach moskiewską piechotę.*) Moskale ci byli z Piotrkowa.**)

Chmieliński kawalerji rozkazał udać się pod las znajdujący się z drugiej strony wsi, a sam na czele piechoty rozpoczął ogień tyralierski. Po półgodzinnej może strzelaninie, zobaczyliśmy nieprzyjaciela cofającego się, co nas zdziwiło niezmiernie. Trudno bowiem było przypuszczać, pomimo dobrej postawy i silnego ognia z naszej strony, że rejterada ta pochodzi z musu albo potrzeby. Chmielińskiego na ten raz opuściła zwykła ostrożność i spostrzegłszy cofanie się nieprzyjaciela i jego słaby ogień, krzyknął hura! i posunął się całą linią naprzód chcąc dokończyć zwycięztwa. Piechota nasza zachęcona powodzeniem, puściła się biegiem z pochylonem bagnetem — niestety! nie była to rzeczywista ucieczka ale podstęp, któren o mało, że się nie udał. Naraz bowiem z przeciwnej strony, to jest w tyle zobaczyliśmy chmurę nieprzyjaciół wychylających z poza wzgórza. Zagrzmiała artylerja, sypiąc kartaczami i Chmieliński ujrzał się prawie otoczonym — pozostawała mu jedyna droga gdzie stała jego kawalerja, tam też skierował się i cofał biegiem odszreliwając się natarczywie ścigającemu go wrogowi. Nadeszłą Moskwą dowodził Szulman, pułkownik, któren się zniósł z oddziałem Piotrkowskim i chciał jednym zamachem nas rozbić ze szczętem. To był właśnie powód ucieczki Piotrkowskiego oddziału i chęć odciągnięcia nas jak najdalej od lasu; parę minut jeszcze pogoni a bylibyśmy zgubieni. W trakcie cofania się Chmieliński posłał do nas swego adjutanta Ch****) z rokazem cofania sie, lecz biedaka niosącego powyższy rozkaz uderza granat i urywa mu nogę. Wprawdzie rozkaz ten był zbytecznym, gdyż sięgające nas kartacze nieprzyjacielskie i widok ogólnej ucieczki piechoty, dał nam powód do cofania się bez polecenia. Rejterując się powolnie widzieliśmy Chmielińskiego wchodzącego do lasku, a zatem na wpół bezpiecznego, pomimo ścigania Moskwy. Ruszyliśmy w przeciwną stronę sporym kłusem i po półgodzinnej jeździe zatrzymaliśmy się we wsi Kuczków. Byliśmy mocno skłopotani i niespokojni o los Chmielińskiego i naszych piechurów. Moskwa była tak przemożna, tak zażarcie nas ścigała, a piechota nasza tak była zmęczona, że mogli ją nieprzyjaciele łatwo dognać w lesie i rozbić — ale nie długo zakomunikowano nam wiadomość, że Chmieliński cały i zdrów stoi ze swymi ludźmi pod Włoszczową i tam kazał nam podążać.

Po małem wytchnieniu, udaliśmy się manowcami, stosownie do polecenia i w Rogienicach na drugi dzień rano połączyliśmy się z całym oddziałem. Straty nasze wskutek ostatniej potyczki były mniejsze, jak myślałem. Dwudziestu było zabitych i tyluż rannych, a dwóch dostało się do niewoli — ale nieodżałowaną ponieśliśmy stratę w osobie Ch***, który swoją wesołością i zapałem, ożywiał w najsmutniejszych chwilach cały obóz. W parę lat potem spotkałem go w Warszawie, z przyprawioną w Paryżu nogą gutaperkową tak zręcznie i gruntownie, że kto nie wiedział, nie spostrzegł żadnej różnicy.

W Rogienicach doniesiono Chmielińskiemu, że Moskwa idzie naszym śladem, a również, że z Częstochowy wyprawiono nowy oddział dla ostatecznego rozbicia nas. Wyruszyliśmy przeto niezwłocznie do Oksy, a ztąd mając ciągle na karku nieprzyjaciół, stykających się prawie z naszą tylną strażą, do Dzierzgowskiego młyna. Chmieliński widząc ostateczny upadek sił piechoty, zakradający się przy tem nieład, przeważne siły moskiewskie zewsząd nas otaczające i sam czując się chorym, postanowił użyć pierwotnego fortelu t. j. podzielić oddział na kilkanaście części i rozpuścić w różne strony — kawalerji zaś pod dowództwem Neumana rozkazał udać się w stronę Pinczowa i tam czekać dalszych rozporządzeń.

W niespełna godzinę po rozejściu się naszem, nadeszła Moskwa z dwóch stron, od Częstochowy i od Kielc. Na zapytanie, gdzie powstańcy? pokazano im dziesięć dróg — dalsze przeto ściganie okazało się bezskutecznem, ile że to było w okolicy nadzwyczaj lesistej i pełnej trzęsawisk, gdzie posuwanie się z artylerją było wprost niepodobnem. Po krótkiej przeto naradzie wojennej, umyślili powrócić nazad i oczekiwać przyjaźniejszych okoliczności. Chmieliński zaś zachorował na dobre i ukrył się w okolicach Oksy czy Włoszczowy.

Było to w początkach września — powstanie pomimo gęstych oddziałów w różnych stronach kraju było coraz silniej gnębione, i gdyby nie nadzieje na interwencję zagraniczną, byłoby z pewnością najzupełniej upadło. Już nie szło o zwycięztwa, ale o trzymanie się, o egzystencję i przekonanie Europy, że naród polski domaga się należnych mu swobód i praw—i o takowe rozpiera się orężem. Najzapaleńsi, najwięcej zagorzali zwątpili we własne siły. Wytężano przeto wszelkie siły, wyczerpywano ostatnie środki w oczekiwaniu na obiecane wsparcie i pomoc, rachując na okoliczności i wspaniałomyślność Europy. Łatwowierność nasza jak zwykle była haniebnie zawiedzioną.

Na drugi dzień po rozdzieleniu się, kawalerja nasza otrzymała nowe mundury we wsi Motkowicach pod Pińczowem. Mundury te wysłane z Krakowa były nam już bardzo potrzebne, albowiem te, które nam dano przed dwoma miesiącami, w ciągłem szarzaniu się, rozleciały się prawie w strzępy. Były one zrobione z grubego sukna, krojem chłopskich sukmanek, z kieszeniami, które nam służyły za kaptury w czasie niepogody.

Kilka dni włóczyliśmy się w okolicach Pińczowa i Stopnicy, nie mając nigdzie żadnej wiadomości o nieprzyjacielu. Piątego czy szóstego dnia wyruszyliśmy z Balic, siedliska niegdyś słynnego Bonara i udaliśmy się do wsi Stawy. Ledwie tutaj zasiedliśmy do obiadu, gdy na pikiecie pada strzał, a niedługo widzimy pędzącą kawalerję moskiewską. Cofnęliśmy się do lasu, znajdującego się nie daleko wsi. Pogoń ustała. W czasie tej ucieczki, dowódzca nasz Neuman, uległ wypadkowi, pistolet wypadając mu z za pasa wypalił i kula trafiła go w piętę. Zdał przeto komendę najstarszemu oficerowi Łąckiemu, a sam udał się do Krakowa leczyć się, i odtąd już go więcej nie widzieliśmy.

Nazajutrz przybył do nas z Krakowa Markowski z rozkazem Chmielińskiego poddania się jego komendzie. Był to człowiek lat 50, służył poprzednio w kozakach sułtańskich Czajkowskiego, zkąd umyślnie przybył do powstania. Żołnierz to niezaprzeczonej odwagi, ale niezmiernie słaby i pobłażliwy dla podwładnych, nie mógł być przeto dobrym komendantem i porządek zaprowadzony przez Chmielińskiego potrosze się rozprzęgał. Z Markowskim chodziliśmy dość długo, nie stoczywszy ani jednej utarczki, aż przybycie Bosaka na widownię wojny zmieniło nasze położenie. (C. d. n.)

WOŁY ROBOCZE

SZKICE PATOLOGICZNO-SPOŁECZNE

przez

Autora kłopotów starego komendanta.

(Dokończenie).

Około ósmej idę ja do państwa Wiktorów. Mieszkają na drugiem piętrze, na drzwiach jest bilet wizytowy z napisem francuskim »Pani Malwina Malwini, artystka śpiewaczka«, więc zaczynam kołatać do tych drzwi. Słyszę jakiś szmer wewnątrz, czuję ktoś zagląda dziurką od klucza, potem ciche wołanie: Wiktorze, Wiktorze — lecz nikt nie otwiera. Już mam zamiar odejść, gdy z galerji, będącej wewnątrz domu, wypada mój kolega, ubrany w drelichowy krótki szpencerek, a trzymając zdala od siebie ręce, zastępuje mi drogę.

— A mój ty jedyny, proszę... Psiakość słoniowa, powalałem sobie ręce naftą i nie mogę cię uściskać... Djabli nadali te lampy z okrągłymi knotami, nikt z niemi nie potrafi...

Nacisnąwszy łokciem klamkę, otwiera mi drzwi i puszcza wprost do obszernego lecz zupełnie ciemnego salonu...

— Mój drogi, usiądź tu chwilkę, ja każę przynieść światło. Zapomniałem ci powiedzieć, że u nas przyjęcie o dziesiątej,

---

*) Autor niedokładnie pamięta okoliczności poprzedzające bitwę Małchowską. Wymarsz z Drochlina nastąpił zaraz po rozstrzelaniu Iskry — bitwa zaś dopiero nazajutrz o świcie. W nocy nawet Chmieliński kazał zaalarmować obóz moskiewski.

**) Nie z Piotrkowa ale z Kielc.

*) Ch*** o którym tu jest mowa, nie był adjutantem Chmielińskiego i on go nie posyłał wcale, ale rotmistrz jazdy Rzepecki, wysłał go z zapytaniem do dowódzcy, co ma robić z kawalerją. (przyp. wydawcy).

a tymczasem jeszcze Malwinka miała straszny atak nerwowy... Niech Bóg broni...

Zostawiony w kompletnej ciemności, zaczynam się rozbijać wśród mebli, nakoniec trafiam na coś miękkiego i siadam. No, myślę sobie, mój szlachcic w dobrych jest obrotach; biedaczysko, nie lepiej mu to było siać pszenicę w proszowskiem, niżeli czyścić lampy w mieszkaniu utalentowanej żony. Myślałem jeszcze i o innych rzeczach, bo szanowny gospodarz dosyć zostawił mi wolnego czasu. Ani świeca, ani żadna żywa dusza nie przychodzi, tylko po za ścianą słyszę wszczyna się jakiś wielki rejwach; coś tam szklannego musiało upaść i potłuc się w kawałki, bo zaraz potem zrobił się krzyk, potem stuk, potem płacz, a wśród tego wszystkiego przytłumione wołanie: Wiktorze, Wiktorze, czyś ty głuchy, pójdź tu Wiktorze... wreszcie pst, pst... Malwinko, jakże można... i znowu cisza.

Nareszcie po półgodzinnej takiej zabawie, otwierają się drzwi z boku a w nich pokazuje się mała, lat może dziesięciu, dziewczynka z lampą w ręku, z którą stąpając noga za nogą, postępuje ku mnie. Patrzę, dziewczyna jest wątła, blada, z zapłakanemi oczyma, a ubrana jak komedjantka, w białą muszlinową sukienkę z niebieską szarfą, przeciągniętą przez ramię, niby wstęga orderowa. Biedactwo to, z rozpuszczonemi jasno blond włosami, ma tak chude i kościste rączki, że aż przykro patrzeć, tembardziej, że rączki te zupełnie są aż po ramię obnażone.

Postawiwszy lampę na stole, zrobiła przedemną dyg, a obcierając zapłakane oczy, zaczyna chodzić po całym pokoju, zbierając różne drobne części ubrania kobiecego.

— Mama zaraz przyjdzie — powiada do mnie, wychodząc z owemi rzeczami i znów się kłania, dygając niezgrabnie.

Rozpatruję się do koła: salon wielki o trzech oknach, lecz umeblowany bardzo skromnie. Meble stare, jakaś zbieranina, wygniecione, spłowiałe; podłoga brudna, zaścielona suknem w różnych krzyżujących się kierunkach, na ścianie kilka sztychów, z których jeden, jak się zdaje, portret pani Malwiny. Przy tej ścianie, gdzie stoi fortepian, urządzono coś w rodzaju altanki zielonej z wazonów oleandrów i innych roślin; w altance dwa taburety, na prawo i lewo stoją pulty z nutami — słowem przygotowano wszystko do koncertu, bo nawet pudełko ze skrzypcami leży na wierzchu fortepianu, a pękata wiolonczela drzemie w kąciku tuż pod oknem.

Ale otóż i pani Malwina! Gdybym nie był uprzedzony o jej tuszy, anibym jej poznał. Kobieta jak Herkules, z twarzą rakowego koloru z trzema podbródkami, z mnóstwem pudru, zamaszysta, groźna. Weszła prędko szeleszcząc jedwabną powłóczystą suknią i podała mi zaraz obie rączki na przywitanie.

— Co za szczęście, jaka miła niespodzianka — mówi, sadzając mnie obok na kanapie. — Gdy mi Wiktor powiedział o spotkaniu z panem, dostałam takiego bicia serca, jakbym rodzonego brata miała ujrzeć...

— Słyszałem — rzeknę na to — że przed chwilą byłaś pani cierpiącą.

— To nie z tego, ale z irytacji! Wystaw pan sobie, dał dziecku trzymać klosz od lampy i upuściła... Ach, kochany panie, co to za niedołęga! Mój Boże! — dodaje spuszczając oczy z żałośną miną — w jakich to przykrych dla mnie spotykamy się okolicznościach.

— No, cóż takiego?

— Jakto? pan nie wiesz? Wiktor cały majątek stracił... przeżywamy resztki. Ale niechajby był stracił swój, proszę pana, to mu jest wolno, tylko dlaczego stracił moje czterdzieści tysięcy, które miałam zapisane intercyzą przedślubną?... Proszę pana, pan mię znałeś w Warszawie i wiedziałeś, jakie trafiały mi się partje, a porzuciłam wszystkie dla niego. Myślałam, bogaty, ułatwi mi karjerę artystyczną... a tymczasem, patrz pan, co się ze mną stało...

— Ślicznie pani wygląda...

— Czego pan żartujesz... Utyłam, ot patrz, jak utyłam ze zmartwienia.

Uśmiechnąłem się dwuznacznie, bo przyznaję, nie słyszałem jeszcze, aby kto utył z takiego powodu.

— Tak jest, zapewniam pana, ze zmartwienia... Wywiózł mię na wieś i osadził w tej proszowskiej barbarji, zdala od świata ducha, gdzie musiałam razem z innymi jadać sześć razy na dzień i zajmować się tuczeniem różnych stworzeń Boskich... Ach, panie, co ja ucierpiałam przez te lat pięć, to pan nie masz wyobrażenia! Matka jego koniecznie chciała zrobić ze mnie gospodynię wiejską, mnie, artystkę z ducha i wychowania, dla której świat cały ze sławą i bogactwem stał otworem... Powiedział mi (nie pamiętam już, jakie wymieniła nazwisko włoskie) w Medjolanie, że takiego głosu, jaki ja mam, nie ma i nie było w Europie.

— Więc dobrze...

— Tak, byłoby dobrze, gdyby nie ta przeklęta tusza. Wystąpiłam raz w Cyruliku sewilskim w roli Rozyny i, wystaw sobie pan, wygwizdano mię...

— Nie może być...

— Jak pana szanuję, wygwizdano z powodu takiej tuszy... Ach, co ja wycierpiałam!... — kończy zakrywając twarz rękami.

W tej chwili dał się słyszeć dzwonek w przedpokoju; pani obtarła oczy i zawołała donośnym głosem:

— Wiktorze!

Pojawił się Wiktor z bardzo pokorniuteńką miną.

— Co sobie życzysz, moja ty...

— Nie słyszysz że dzwonią...

— Kiedy widzisz, mam zajęcie—bąka jak sudent, złapany na gorącym uczynku—posłałem Anusię...

— Ot masz pan — rzecze do mnie po jego odejściu — takim był zawsze... Wygląda jak swój lokaj... a nie może się odzwyczaić tego proszowskiego: moja ty, mój ty... Jaka to prawda jest w tem przysłowiu: czem skorupka za młodu nasiąknie... Ach panie, całe moje nieszczęście jest to małżeństwo. Kto winien, że jestem taka?

— Jak to, że pani utyła?

— Naturalnie. Bo kiedy spostrzegłam początek tej choroby na wsi, prosiłam, błagałam na klęczkach: Wiktorku, jedźmy za granicę, ja się potrzebuję leczyć... A on śmiał się ze mnie i wszyscy się śmieli, upewniając, że mi to do twarzy i że wyglądam, jak prawdziwa obywatelka.

— Jednak pojechaliście państwo...

— Ba, kiedy już było za późno... Póki mama żyła, ja nie miałam żadnego głosu w domu, ja nie miałam racji... Nieszczęście całe, że tak poźno ją Bóg zabrał. Sprzedał majątek i wynieśliśmy się z tych stron okropnych.

— Więc na cóż on stracił majątek?

— Pytaj go pan, bo ja, dalibóg dotąd nie wiem. Za granicą żyliśmy skromnie, daję panu słowo; czasami prasowałam sobie sama kołnierzyki. Czy to pan nie wiesz, jak szlachta polska umie tracić bez żadnej przyczyny. Ot nie rachował się, oszukiwali go, pożyczał znajomym... a dziś, gdyby nie moja praca, nie mielibyśmy co do ust włożyć... Pod sekretem panu powiem, że daję lekcje śpiewu. Panie, ja, artystka, ja panie muszę dawać lekcje...

Smutno mi się zrobiło, słysząc takie wyrzekania kobiety, która, jestem pewny, straciła poczciwie przez rodziców Wiktora zapracowany majątek na mrzonki artystyczne, smutno, powtarzam, widząc z jego strony tak niewolnicze posłuszeństwo i takie bezwzględne uwielbienie dla tej kapryśnicy... Zamilkłem i westchnąłem w duszy: od tego rodzaju zawiedzionych wielkości uchowaj nas Panie!

Zaczęli schodzić się goście; wszyscy bez wyjątku muzykalni. Najprzód jakiś solista skrzypek, z przeraźliwie napstrzoszoną czupryną, w okularach na nosie i w białym krawacie na szyi. Podług zdania pani Malwiny, była to potęga smyczkowa, genjusz co najmniej równorzędny z Wieniawskim. Ten pan ledwie mi raczył podać rękę, a dowiedziawszy się, że nie gram na żadnym instrumencie, już nie spojrzał więcej, oddawszy się całkiem rozmowie z z gospodynią domu. Drugi z rzędu otyły, sapiący i ocierający co chwila spoconą twarz artysty — jest z powołania profesorem gimnazjum, a z duszy wiolonczelistą. Co chwila zaciera ręce i śmieje się, choć nie ma z czego, powtarzając co drugie słowo: panie bdzieju. Trzeci, z jasnokonopiastemi włosami, z oczami na wierzchu jak u zająca — to także amator, śpiewak — zapoznana wielkość basowa, któremu intryga pewnej koterji tutejszej nie pozwala dostać się na deski teatralne... Mówił mi Wiktorek, że raz wystąpił w Hugenotach, ale złośliwość prasy posunęła się do tego stopnia, że napisali w pewnym dzienniku: »Widzieliśmy pana X, chodził po scenie, machał rękami, wytrzeszczał oczy, a nawet otwierał usta, lecz głosu jego, niestety, nie mogliśmy usłyszeć«...

— Jednakże Malwinka powiada, że

taki bas jest fenomenem; usłyszysz jak zaśpiewa, to mrowie przechodzi człowieka... Psia kość słoniowa, śpiewa jak lew w pustyni...

Przybywało coraz więcej owych artystów i amatorów, a między nimi jeden młody chłopczyna z wyłożonymi kołnierzykami i binoklem na nosie — wielce ruchliwy.

— To jest nasz artystyczny recenzent — szepnął mi Wiktor. — Psia kość słoniowa, z nim trzeba ostrożnie, bo ci pisze tak zjadliwie, jak chce.

Poznaliśmy się z panem recenzentem i oświadczam, że była to jedyna osobistość w tem gronie, z którą ja, prostaczek, mogłem jeszcze coś pomówić — do innych ani przystepuj.

Kobiet zeszło się niewiele. Jedna przystojna blondynka z wysokiem czołem, sąsiadka z tego samego domu, jest matką dorastającej panienki a uczennicy pani Malwiny. Osoba to niezmiernie wesoła, bo srebrny jej chichot ciągle rozlega się po sali; przyczem ma pasję przeglądania się w lustrze i poprawia ubioru to na sobie, to na córce, która, jak usiadła kamieniem tuż koło fortepianu, to ani się ruszyła do końca wieczoru.

Druga staruszka, zwana tu pospolicie ciotką, jest kobieciną małego wzrostu, dawna ochmistrzyni pensji. Żując nieustannie ustami, biega po całym pokoju, zaczepia każdego i odprowadza na stronę, pytając, co będzie grał, co będzie śpiewał, a Wiktora, co będzie na kolację. Z kolei rzeczy, babina dobrała się do mnie i zatarasowawszy w kąt pod lustro, zmusiła, że wysłuchałem całą historję jej życia, jak utrzymywała pensją żeńską w Jaśle, jakie miała panienki z porządnych domów, jak wszystkie szczęśliwie za mąż powychodziły, chociaż zarzucano jej edukacji zbyt sentymentalny kierunek. Staruszka ta dziś jeszcze trudni się udzielaniem lekcji języka francuskiego, ma dotąd sześć tuzinów srebrnych łyżek z nożami i widelcami, a co do Anielki, dzisiejszej solenizantki, to udzielając jej francuzczyzny bez pretensji, zapewnia, że panienka ta ma tak wyborną pronuncjację, jakiej żadna jej uczennica nie miała.

Nareszcie około godziny jedenastej wyprowadzono solenizantkę, którą czytelnicy już mieli sposobność poznać przy wnoszeniu lampy. Wszyscy obecni rzucili się zaraz do składania życzeń: matka ofiarowała jej ponsowy szalik na szyję, ojciec tekę złoconą na nuty, pan wiolonczelista bukiet świeżych kwiatów, a mój przyjaciel recenzent pudełko z cukierkami, na którem wymalowaną jest kura siedząca na jajach. Widziałem, pani Malwina tryumfowała wobec tak uroczyście składanych hołdów cudownemu dziecku, a Wiktorek uwijając się między gośćmi, wydobywał ciągle chustkę od nosa i obcierał ojcowskie oczy pełne łez rozrzewnienia.

— Patrzno, mój ty — rzecze do mnie — czy ja mogłem się kiedy tego spodziewać! A komu to wszystko jestem winien? Malwince...

Tymczasem w tej właśnie chwili spostrzegła owa Malwinka, że nie ma świec przy fortepianie i mocno się zakaszlała. Wiktorek, zdaje się, rozumie dobrze owo krząkanie, bo rzuca mnie nagle i dostaje się do żony.

— Wiktorze, co to znaczy? świec nie mamy.

— W ten moment, moja ty droga! — odpowiada z pokorą i biegnie do drugiego pokoju, wynosi naraz coś cztery lichtarze, które w miejscach odpowiednich ustawia.

Gwar rozmawiających przycicha, goście zasiadają w półkole przed fortepianem, solista zaczyna stroić skrzypce, artysta z wiolonczelą coś mu tam pomrukuje i oto mamy koncert. Nie obawiajcie się czytelnicy, nie będę was nudził opisem wrażeń moich z tego tercetu; na muzyce tyle się znam, co ślepy na kolorach. Wszelkie tego rodzaju produkcje, szczególniej tak zwane ciężkie i klasyczne, wydają mi się zawsze bębnieniem kijami po parkanie. Owe stuki, puki, zacięcia, a czasem i ślamazarne jęki instrumentów przyprawiają mię o senność, podobnie jak deszcz wiosenny uderzając o szyby okien razem ze świstem wiatru i grzechotaniem żabek na stawie. Pod tym względem mogę się zaliczyć do szlachty proszowskiej, dla których krakowiak jest najpiękniejszą melodją na świecie.

Proszę sobie tutaj wyobrazić, co się tam musiało dziać ze mną, gdy się rozpoczęło to granie. Gdybym nie był głodny, niezawodniebym usnął w pięć minut.

Małą solenizantkę usadzono w owej kwiecistej altanie, mama usiadła obok, skrzypek z jednej strony stojąc, wiolenczelista z drugiej siedząc i grają sonatę. Anielka z ogłupiałem spojrzeniem, chudemi rączętami zawzięcie bębni po klawiszach, mama pomaga jej kiedy niekiedy przypominając takt zagubiony i zarazem przewracając kartki, gdy skrzypek solista wyprawia ze swoją osobą prawdziwe sztuki łamane, człowiek ten co najmniej ma minę warjata, lub cierpiącego na chorobę św. Wita. Ani jednej sekundy nie pozostaje spokojnym: to przykłada i odejmuje skrzypce od brody, to przewraca oczami, to uderza smyczkiem o nuty, przytupuje nogą, głową roskosznie kręci, gdy czarne jego długie włosy razem ze sznurkiem od binokli balansują w prawo i lewo, jak liny na okręcie podczas wiatru.

Za to wiolonczelista oparłszy swój brzuszek na instrumencie, zdaje się razem z nim zasypiać. Widocznie, że rola jego w tej sonacie musiała być tylko od parady, tak coś w rodzaju figurantów na scenie, bo kiedy niekiedy tylko pociągał smyczkiem po żywocie pani wiolenczeli, a ona pomrukując po każdej takiej operacji, widocznie nie brała tej muzyki na serjo.

Nareszcie wśród ogromnego rwetesu muzycznego, ucichli. Burza oklasków sypnęła się ze wszystkich dłoni, a pani ex-ochmistrzyni pensji przedostawszy się przebojem do fortepianu, ucałowała potrzykroć cudowne dziecko. Słyszę, panią Malwinę napada znów kaszel, a jednocześnie Wiktorek ciągnie mię za połę fraka.

— Czas — szepcze mi krótko — proszę do drugiego pokoju.

Razem ze mną weszły i dwie panie; owa śmiejąca się blondynka i druga jakaś wesoła w ciemnych okularach. Podano mi wieniec z długą białą atłasową wstążką, wielki jak obręcz na kufę, tudzież drugi mniejszy. Nie wiem dlaczego i po co obie te damy schwyciły mię pod ręce, i tak we trójkę jak nowożeniec prowadzony do ślubu, wkroczyliśmy do sali.

— Józiu mój ty drogi — gada wciąż postępując za mną pan Wiktor — przemów słów parę... wierszami mój ty, wierszami. Jak wirtuozem, tak samo poetą nigdy w życiu nie byłem, ale że wypadało dla ceremonii coś przemówić, a jak na złość wlazło mi w tej chwili nazwisko ojca pani Arto, który wiem, że był sławnym artystą, więc w czasie długiej parady przez salon, skleił mi się następujący nonsens poetyczny:

Panno Anielo!

Niech się schowa przed Tobą, stary Liszt i Arto,
Za co tym skromnym wieńcem, uwieńczyć cię warto.

Dalibóg, ani się spodziewałem, że mój wiersz wzbudzi taki entuzjazm... Wszyscy przyjęli go z zachwytem, pani uścisnęła rękę, pan pocałował mię z tyłu w szyję, a szanowny recenzent artystyczny, wyjąwszy książeczkę z kieszeni, złotym ołówkiem wiszącym mu na szyi, wiersze te natychmiast zanotował.

Otóż dzięki tej poezji, stałem się o pięćdziesiąt procent ważniejszą osobą w artystycznym salonie kolegi. Zrobiono mi natychmiast miejsce bliżej fortepianu, i zaczęła się druga sonata, czy coś podobnego w tym rodzaju. Potem zaśpiewała pani arję z Żydówki, o ile mi się zdaje bardzo dobrze; Wiktorek znów do mnie:

— Mój ty złoty jedyny, palnij jaki wierszyk...

Ale moja muza nie chciała odpowiedzieć na to wezwanie. Biłem oklaski to prawda o ile mi sił starczyło, jednak do przemowy nie przyszło.

Spojrzałem ukradkiem na zegarek, po dwunastej, a tu panie ani myślą zakończyć. Mniejsza z tem, niechby grali, tylko dlaczego nic nie podają. Pani co raz częściej krząka, Wiktorek tylko się miga w sali, biegając jak adjutant z rozkazami wodza, odbywa tajne konferencje z małżonką i zdaje się, że już mają podać herbatę, a tymczasem idzie o chór męzki, w którym i sam gospodarz bierze udział. Stanęło sześciu, jeden w drugiego chłop w chłopa, a przy nich z boku moje mizeractwo, Wiktorek z kartką nut w ręku i z taką nadętą miną jakby on przynajmniej był pierwszym tenorem w Europie.

Śpiewają tedy jakieś »Dobra noc« i to tak czule, tak usypiająco, że ja ratuję się jak mogę na krześle, aby nie uledz tak melodyjnemu wezwaniu. Mój Wiktorek zdaje się jest w siódmem niebie: zaszczyt śpiewania w chórze, kompletnie go odurza, aż tu nagle przybiega pani i bez ceremonii wyrywa mu nuty z ręki.

— Nie fałszuj — mówi dość głośno.

Myślałem, że Wiktorka krew zaleje; z otwartemi usty stanął jak martwy. Przy-

znaję, głupszej miny człowieka w całem mojem życiu, nie widziałem.

— Ot masz pan — rzecze do mnie po cichu pani Malwina — takie to moje całe życie z tym Wiktorem.

Zdawało się, że po skończeniu owego *Dobranoc* pójdziemy rzeczywiście do domu, albo też zmiłują się i podadzą herbatę. Gdzietam! Wiktorek junior ma się popisywać z tańcem kołomyjki. Ubrany w granatowy strój marynarski, w bucikach ze sztylpami, stanął z junacką miną naprzeciw Wiktora starszego, a mama usiadła do fortepianu. Niepodobna zaprzeczyć, że mój kolega odzyskawszy już zwyczajną moc duszy, tak zawadjacko przebierał nogami, a mały z taką dokładnością naśladował jego ruchy, że wszyscy musieliśmy się trzymać za boki od śmiechu. Aż tu panie w trakcie tej wesołości, okropny krzyk dziecka rozlega się w sąsiednim pokoju. Kto żyje biegnie i oto co się przedstawia. Średnia córeczka państwa Wiktorów przewróciła dymiący samowar na stole i zdaje się, musiała się poparzyć, bo biega jak szalona po pokoju, a para gorącej wody bucha zalawszy półmiski z potrawami.

Rzucili się wszyscy do ratunku, z czego korzystając, głodny jak nieboskie stworzenie, czmychnąłem do siebie.

— A co? — mówi na drugi dzień do mnie Wiktorek oddając mi wizytę — ubawiłeś się?

Nie miałem odwagi powiedzieć tak, ale dałem sobie uroczyste słowo w tej chwili, że póki życia mego, nigdy na tego rodzaju koncerta familijne nie pójdę...

— No cóż sądzisz o mojej żonie?

— Ma głos przyjemny.

— Człowieku, to słowik a nie kobieta... Psiakość słoniowa, żeby tylko można ją trochę zeszczuplić. Ale nie tracę nadziei, niech tylko stryj umrze i ja coś po nim dostanę, jedziemy natychmiast do Szwajcarji i po górach chodzimy, dopóki nie spadnie z ciała. A jakie to złote serce, nie masz wyobrażenia!... Calutką noc siedziała przy Cesi... No, co prawda, to moja w tem wina, że dziecko się trochę oparzyło, powinienem był pilnować... gdzież taka artystka może się zajmować dziećmi. Dla niej świat cały rodziną. Przyznaj sam, że inne to życie artystyczne, a inne na wsi?... Tam człowiek wegetuje jak roślina, a tu przynajmniej żyje.

Żyjże sobie, kiedyś taki ograniczony i w wołowym jarzmie jest ci do twarzy!

KONIEC.

Pochodzenie stylu w architekturze

STUDJUM

HERBERTA SPENCERA.

Niedawno, zwiedzając galerję starożytnego towarzystwa malarzy akwarelistów (Old Water Colour Society), byłem zdziwiony widokiem regularnej budowli w pośród otoczenia, któremu zbywało na prawidłowości. Dziwną szczególnie niezgodę przedstawiał widok greckiego gmachu doskonale symetrycznego, umieszczony przez artystę pośród krajobrazu górzystego, dzikiego nieco. —Jak to niemalownicze! — rzekła przechodząca koło mnie dama do swej towarzyszki; spostrzegłem, że nie sam jeden byłem tego zdania. Zamyśliłem się nad tym frazesem. Dlaczego to niemalownicze? Wyraz „malownicze“ oznacza podobieństwo do malowidła, podobne do tego co jest dobrem do umieszczenia w obrazie. Dlaczegoż w tym wypadku przedmiot nie był stosownym dla obrazu?

Gdy tak myślałem o tej rzeczy, zdawało mi się, że artysta zgrzeszył przeciw tej jedności, która stanowi główną cechę dobrego obrazu. Gdy pozostała część krajobrazu przedstawia widok nieprawidłowy, to umieszczona tam artystyczna struktura powinna być również nieprawidłową, aby mogła stanowić część tegoż krajobrazu. Powinna mieć też same cechy, co przedmioty otoczenia; inaczej struktura i miejsce na którem się znajduje, tworzą nie jedną rzecz, lecz dwie, i powiadamy, że nie jest ona na swojem miejscu. Albo wyrażając się językiem psychologji: kojarzenie się pojęć, jakie wzbudza widok budowli, której skrzydła, okna i wszystkie części są symetryczne, różni się zupełnie od kojarzenia się pojęć powstających na widok krajobrazu zupełnie nieprawidłowego, i z tych dwóch pojęć, jedno stara się zniszczyć drugie. W dalszym ciągu mego rozumowania przypomniałem sobie wiele faktów, tłumaczących to zjawisko. Przypomniałem sobie, że zamek obronny, którego główny zarys jest najnieprawidłowszym ze wszystkich rodzajów budowli, najwięcej nam się podoba wśród skał i przepaści; tymczasem wśród równiny zamek taki wydaje się nie właściwym. Formy na pół prawidłowe, na wpół nieprawidłowe naszych starych ferm, zamków i opactw gotyckich bardzo dobrze harmonizującą ze wsią oblaną wodą, otoczoną lasem. W miastach przekładamy architekturę symetryczną; tam bowiem nie wzbudza ona wcale uczucia niestosowności, gdyż wszystkie przedmioty otoczenia — ludzie, konie, powozy, — są także symetryczne. Wtedy przypomniałem sobie myśl, która wiele razy przychodziła mi do głowy, mianowicie, że istnieje pewien związek między różnemi rodzajami architektury i różnemi klasami tworów przyrody. Budowle w stylu greckim lub rzymskim z powodu swej wielkiej symetrji zdają się być zbudowane na wzór królestwa zwierzęcego. W gotyku, który jest po części nieprawidłowym, główna myśl bierze początek, jak się zdaje z królestwa roślinnego.

Budowle zaś stanowczo nieprawidłowe, jak pałace naprzykład, są rzec można naśladowaniem kształtów świata nieorganicznego.

Oto teorja czysto fantazyjna. Tak się przynajmniej zdaje na pierwszy rzut oka. Ale na poparcie jej mamy liczne fakty. Stosunek istniejący między architekturą symetryczną i kształtami zwierzęcemi, możemy ztąd wyprowadzić, iż oczekujemy pewnego rodzaju symetrji w budowlach regularnych i symetrja ta sprawia nam przyjemność. I tak od świątyni greckiej wymagamy, aby była symetryczną sama przez się i aby obie boczne jej części były do siebie podobne: lecz nie szukamy jednostajności między bokami i fasadą, ani między fasadą i tylną częścią. Widocznem jest, żeto taka sama symetrja, jaką spostrzegamy u zwierząt. Przeciwnie, budowla okazująca jakąś pretensję do symetrji, nie podoba się nam gdy nie jest w zupełności symetryczną: dla czego? Prawdopodobnie odpowiemy: ponieważ nie widzimy wykończonej myśli architekty, więc gust nasz do wykończoności jest obrażonym. Lecz tu zachodzą nowe pytania: jak możemy wiedzieć, iż koncepcja architekty była symetryczną? Zkąd pochodzi nasze pojęcie symetrji, które jej przypisujemy? Aby nie powracć do starej teorji idei wrodzonych, musimy przypuścić, że pojęcie symetrji między dwoma połowami jednej rzeczy powstaje z wrażeń zewnętrznych; inaczej mówiąc, powstaje na widok zwierząt wyższych.

Jest pewien związek między architekturą i kształtami roślinnemi: twierdzenie to ogólnie jest przyjęte. Częstokroć spostrzegana analogja między sklepieniem nawy i aleją drzew o przeplatanych gałęziach, pokazuje, że fakt ten musiał dawniej już zwracać na siebie uwagę ludzi. Zresztą analogja ta nie jest jedynym śladem tego powinowactwa. Widać ją jeszcze lepiej w głównych charakterach gotyku, mianowicie w tem co nazywamy parciem się gotycyzmu w górę. Ta przewaga linji prostopadłych, która tak wyraźnie odróżnia styl gotycki od innych, jest w szczególności cechą wyróżniającą drzewa, jeżeli je porównywamy ze zwierzętami lub skałami. Widok wysokiej wieży gotyckiej z podłużnymi otworami i grupami ostrych wieżyczek biegnących od fundamentu do wierzchołka, obudza w człowieku obdarzonym żywą wyobraźnią, niejasną myśl o roślinności.

Mówiłem o związku między formami nieorganicznemi i kształtami budowli w stylu zupełnie nieprawidłowym, w rodzaju zamków; oto jak mi się zdaje dowód: nieprawidłowa budowla tem więcej nam się podoba, im więcej jest nieprawidłową. Dla wytłumaczenia tego faktu, nie widzę innego sposobu jak przypuszczenie, że im większą jest nieprawidłowość budowli, tem wyraźniej przychodzą nam na myśl kształty nieorganiczne, które były wzięte jako typowe i tem żywiej powstają myśli o ulubionych krajobrazach dzikich i romantycznych, jakie te kształty przypominają.

Nowy dowód, związku istniejącego między każdym stylem w architekturze i różnemi klasami przedmiotów w przyrodzie, daje się poczerpnąć z rodzajów ozdób (dekoracji) jakie każdy ze stylów przedstawia.

Charakterystycznym rysem budowli publicznych jest symetrja dwustronna, jaka się przejawia u zwierząt: to też frontony i gzymsy tych budowli są pokryte rzeźbami ludzi i zwierząt. Świątynie egipskie i pałace asyryjskie, przedstawiające w ogólnym planie podobną symetrję, mają mury i drzwi pokryte takiemiż ozdobami. W gotyku natomiast wraz z licznemi rzędami kolumn, które zdają się tworzyć cały las, widzimy ozdoby bogato przystrojone liśćmi. A w starych zamkach, podobnych do zupełnie nieprawidłowych zarysów kształtów nieorganicznych, nie spotykamy upiększeń ani ze zwierzęcego, ani z roślinnego świata. Nagie, podobne do skał ściany usiane wyzębieniami, składającemi się z prostych prawie odłamów, przypominają nam strome skaliste urwiska. Ale największej może znaczącym faktem jest harmonja, jaką można dostrzedz między każdym typem architektury i otoczeniem, wśród którego ów typ powstał.

Jak w rzeczy samej wytłumaczyć tę harmonję, jeżeli nie tem, że przedmioty otoczenia nadały jakąś cząstkę głównych swoich cech przyjętej strukturze?

Jasnem jest, że ta harmonja istnieje. W Egipcie, Asyrji, w Grecji i Rzymie życie miejskie poprzedzało budowę symetrycznych budowli, które przetrwały do naszych czasów, a jak już zauważyliśmy, zwykłe przedmioty, używane w życiu miejskiem, są symetryczne. Czujemy instynktem naturalność takiego związku. Dziwi nas, gdy wśród czystego pola widzimy dom wymierzony, bardzo proporcjonalny, z drzwiami pośrodku i opatrzony jednakową ilością okien na prawo i na lewo: nie zgadza się on z widokiem wsi; wygląda bowiem niby przeniesiony z jakiej ulicy miasta; również na widok pewnych will tynktowanych, z fałszywemi oknami, obliczonemi na symetrję, przypominamy sobie owe domy z przedmieścia, w których mieszkają kupcy, co porzucili interesa handlowe.

W stylach architektury każdego kraju odnajdujemy nietylko ogólną nieprawidłowość, charakteryzującą otaczające przedmioty, ale także chcemy znaleść pewne pokrewieństwo między każdym rodzajem nieregularności stylu i miejscowem otoczeniem. Widzimy jak rozrzucone masy skał, wśród których zwykle umieszczano zamki, odbiły się w surowych, nieorganicznych formach zamków. W opactwach i tym podobnych budowlach, zazwyczaj położonych w miejscowości stosunkowo spokojnej, nie znajdujemy już tych mas i linji wykręcanych, a nagość właściwą fortecy urozmaicają widoki poblizkich lasów. Między chatką szwajcarską i krajobrazem szwajcarskim jest widoczne powinowactwo. Dach spiczasty, śmiało wznoszący się do góry, tak nieproporcjonalnie wielki w porównaniu ze zwykłymi dachami, podobnym jest do szczytu gór sąsiednich; a szerokie spuszczone ku dołowi brzegi jego tworzą pochyłość ślizką, jak dolne gałęzie sosny. Przypatrzcie się jak widoczne pokrewieństwo zachodzi między dachami płaskimi miast wschodnich i minaretami wznoszącymi się tu i ówdzie, i z drugiej strony równinami, jakie najczęściej je otaczają, gdzie spotyka się co chwila wystrzelające do góry palmy. W każdym widoku tych krajów uderza nas przewaga linij poziomych i zgodność ich z krajobrazem rozciągającym się bez granic. Nie trzeba jednak spodziewać się istnienia harmonji, o jakiej mówimy, w każdym wypadku. Piramidy, naprzykład, zdaje się stanowią wyjątek w tej teorji. Linje poziome rozmaitych powierzchni płaskich odpowiadają rzeczywiście płaszczyźnie otaczającej pustyni; ale ogólne zarysy piramid nie przedstawiają żadnej analogji z otoczeniem. Wszelako jeżeli przypomnimy sobie, że plemiona w swych wędrówkach przynoszą z sobą systematy architektoniczne, a przez to naturalnie wznoszą budowle nie mające żadnego związku z widokiem ich nowego kraju, i że nie zawsze jest możebnem odróżnić style prawdziwie krajowe od tych, które się tylko naturalizowały, wtedy liczne wyjątki nie będą nas dziwiły.

Ogólna myśl wyłożona przezemnie, może być powodem mylnego wyjaśnienia. Niektórzy z czytelników mogliby zrozumieć tak: ludzie *umyślnie* nadawali swym budowlom główne rysy charakterystyczne otaczającej miejscowości. Nie chciałem bynajmniej tego powiedzieć. Nie przypuszczam, aby ludzie niegdyś tak postępowali, ani też dziś tego nie czynią wcale. Hipoteza zależy na tem, iż ludzie w wyborze form architektonicznych bezwiednie ulegali wpływowi otaczających kształtów. Jeżeli architektura o dachach płaskich, symetryczna, powstała na Wschodzie u plemion pasterskich żyjących wśród trzód, na obszernych równinach, to jak się zdaje linje poziome i kształty symetryczne, widziane codziennie, były przewodnikiem budowniczych. I jeżeli w innych razach, jak widzieliśmy, istnieje harmonja między stylami i krajem, który jest ich ojczyzną, to z tego powodu, że wszędzie działają podobne wpływy. Rozpatrując tę kwestję psychologicznie, niepodobna rzeczywiście znaleść innej odpowiedzi. Ponieważ wszystkie nasze pojęcia powinny powstawać z obrazów i ułamków obrazów, otrzymanych przez zmysły, ponieważ niepodobnem jest, aby pierwiastki wyobrażeń dostawały się do umysłu człowieka inną drogą, jak ze świata zewnętrznego; ponieważ, oprócz tego, imaginacja rozwija się w kierunku, jaki jej wyznaczają zwykłe percepcje, więc koniecznie prawie ztąd wynika, że cechy najczęstsze tych zwykłych percepcyj, odbijają się na utworach człowieka.

M. W.

Tajemniczy posąg w Sais.

(Z SCHILLERA.)

Gnane namiętnem pragnieniem nauki,
Chłopię nieletnie do Sais przybyło,
Aby kapłanów tajemnej mądrości,
Mogło się uczyć; to też bystrym duchem,
Postępowało ze stopnia na stopień,
A badań żądza rosła wciąż w młodzianie,
Że jej poskromić nie mógł nawet stary
Hierofant. Temu, powiedział raz młodzian:
«Cóż mi, że trochę wiem, gdy nie wiem jeszcze,
Wszystkiego? Czyliż może istnieć tutaj
Jakie mniej, więcej? Jestże twoja prawda,
Jak szczęście zmysłów, tylko sumą tego,
Co mieć możemy w większej albo mniejszej
Ilości, a co zawsze posiadamy?
Czyż ona nie jest jedną, niepodzielną?
Wyjmij ten jeden z harmonji jakiej,
Weź jedną barwę z tęczowego łuku,
A pozostałość będzie dotąd niczem,
Póki brak u niej cudownej pełności
Tonów i barwy!»

Rozmowę toczono w cichej, posępnej
Rotundzie. Młodzian ujrzał tam, stojący,
Olbrzymi posąg, okryty zasłoną.
Zdziwione oczy zwróciwszy na swego
Przewódcę, spytał: «Co pod tą zasłoną
Może się chować?» A odpowiedź brzmiała:
«Prawda!» — «Być nie może!» — zawołał młody.
«Za prawdą biegnę, tej jedynie szukam,
I też to właśnie przedemną kryjecie?»

Hierofant odrzekł: «Wolno ci tę sprawę
Załatwić z bóstwem. Ono powiedziało:
Żaden śmiertelny nie może uchylić
Zasłony — póki samo nie uchylę;
A ktoby ważył, pomimo zakazu,
Zasłony świętej uchylić, swą ręką
Niepowołaną i grzeszną, ten, mówi
Bóstwo»... — «Ten?« — «Prawdę ujrzy!» — «Szczególniejsza
Wyrocznia! Czyż ty nigdy nie próbował
Podnieść zasłony?» — «Ja? O! wcale nigdy;
Nawet do tego nie miałem pokusy». —
«Pojąć nie mogę! Toż gdyby mnie tylko
Od prawdy nikła przedzielała ścianka»...
«I prawo, synu mój» — przewodnik wtrącił —
«Doniośléjsze niźli tobie się zdaje.
Wprawdzie ta cienka osłona, jest lekką
Dla twojej ręki — lecz by za to legła
Skały ciężarem na twojem sumieniu.»

Odszedł do domu młodzian zadumany.
Spać mu nie dawała namiętność wiedzy;
Łoże paliło zarzewiem — i oto:
Wstał o północy i trwożliwym krokiem,
Bezmyślnie, zaszedł do świątyni pzogów,
Tu łatwiem było przejść mury, a potem
Jeden stanowczy krok, i młodzian stanął
Wewnątrz rotundy...

Więc stoi i słucha:
Cisza grobowa, tylko w tajnych gankach,
Echo się kroków niekiedy rozlegnie,
Ponuro — głucho; przez otwór kopuły,
Księżyc przyświeca bladym, srebrnym blaskiem,
A osłoniona postać tajemnicza,
Mtmo ciemności pod sklepienia łukiem,
Widnieje strasrnie, jakby — Bogiem była.

Przystąpił bliżej, ale chwiejnym krokiem,
I świętokradzką już wyciągnął rękę,
Aby się dotknąć świętości — gdy nagle
Wstrząsł nim mróz — czaszkę objęły płomienie,
Potem go jakieś niewidzialne ramię
Od stóp posągu odtrąciło z siłą.
Głos mu sumienia mówił: Stój, szalony!
Nie igrać tobie z wszechmocy potęgą;
Wszakże wyroczni usta powiedziały:
Żaden śmiertelny nie ruszy zasłony,
Póki jej samo dla was nie uchylę!
Lecz czyż te usta nie dodały także,
Że prawdę ujrzy — ten kto ją uchyli?
«Niech pod nią będzie co chce! Ja uchylę!»
Zawołał głośno. «Ja chcę prawdę poznać!»
Poznać! szydzące powtórzyło echo.
Wyrzekł i zaraz — uchylił zasłony.

No, i cóż pod nią zobaczył? spytacie.
Nie wiem! — Bladego, bez zmysłów, znaleźli
Rano kapłani. Leżał powalony
U stóp posągu Izis. Co zobaczył,
I co tam poznał, nigdy jego usta
Nie powiedziały. Wesołe i młode
Życia pragnienia więcej nie wróciły;
Smutek go zawiódł wcześnie do mogiły,
Jeśli ciekawi koniecznie zeń chcieli
Wydobyć słowo, dawał im przestrogę,
Pełną znaczenia: «O! biada takiemu
Który do prawdy dąży przez grzechy,
Ona mu nigdy nie da pociechy!»

W. W.

DZIWNE KARJERY
POWIEŚĆ
Jana Lama.

TOM II.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XI.

(W którym z dziwnemi karjerami bohaterów łączą się dziwne karjery losów »Orędowniczki Wilkowskiej)".

Ludzie pracy a zwłaszcza pracy umysłowej, zasługują na zazdrość bogatych próżniaków nie tylko wtenczas, gdy *spleen* pada niejako wraz zdeszczem z zasłoconego nieba i z mgłą jesienną wciska się do pokoju, ale głównie może wtedy, gdy jednych i drugich dotknie ciężkie jakie zmartwienie. Z początku, rzemieślnikowi pióra wydaje się to niepodobieństwem, by mógł zająć się czemkolwiek wobec ciężaru, który go przygniata, ale wkrótce, żelazna konieczność zmusza go do wysileń nadludzkich, i powoli, powoli, nowe myśli, nowe wrażenia spychają na drugi plan pamięć o sobie samym i o swojej boleści. Znałem ludzi, którzy w ten sposób przeżyli długie dziesiątki lat z głęboką raną w sercu, o której nikt prawie nie wiedział i która w końcu zabliźniła się niemal zupełnie w atmosferze biurowej, lub innej tego rodzaju. Niejeden też może z łaskawych moich czytelników doznał tego uczucia, wchodząc do bióra, do sali wykładów, albo do czytelni w bibljotece publicznej, jak gdyby znalazł schronienie, w którym go dosięgnąć nie zdoła żaden cios, grożący mu gdzieindziej. Dla próżniaka, nawet kościół nie jest takim przytułkiem, ani w modlitwie nie ma tyle ukojenia, ile go jest w obowiązkowem zajęciu.

Doświadczył tego Stanisław Wołodecki, jakkolwiek niejeden uśmiechnie się może na myśl, że można znaleść ulgę w cierpieniu miłośnem pisząc nieciękawe komentarze o czynnościach dyplomatów lub dając im rady, których oni w znanej przezorności swojej wcale nie czytają, a w najlepszym razie, opisując trywialne zdarzenia brukowe językiem ile możności nie trywialnym. Ale jeżeli *Orędowniczka* nie stanowiła przedmiotu tak wysoce umysłowego zajęcia, jak owe studja, którym Cycero oddawał się w swojem Tusculum zachwalając ich skuteczność w obec doznanych zawodów, to natomiast działała ona poniekąd homeopatycznie na mojego bohatera, jeżeli homeopatja polega na wybijaniu »klina klinem.« Wiemy, że Stanisław pobierał za swój udział w redakcji 120 idealników miesięcznie, ale wiemy także, że od pewnego czasu nastąpiła tam była pewna nieregularność w wypłatach. Nieregularność ta z czasem przemieniła się w system tak konserwatywnie przeprowadzany, że w lecie, kiedy państwo Mitręgowie bawili u wód, wypłaty zupełnie ustały. Kasjer zapewniał, że ilekroć zbierze się w jego ręku nieco więcej pieniędzy, dr. Mitręga wpada i zabiera wszystko. Zaledwie można go było ubłagać, ażeby zostawił cokolwiek na pokrycie kosztów druku i papieru. Zdarzało się, że musiano zaciągać na opłacenie poczty pożyczkę u Marcina, który jakoś u wielkiego ołtarza, t. j. pod bokiem wydawcy, mniej cierpiał na brak gotówki.

W tych warunkach przebyli współpracownicy *Orędowniczki* lato i jesień, i nikogo to nie zdziwi, jeżeli powiem, że w końcu przystęp do bióra redakcyjnego znajdował się w stanie ciągłej blokady, wykonywanej przez kilku Milicjan mojżeszowego wyznania, który na przemian to przynosili jednemu albo drugiemu z »panów redaktorów« po parę idealników, to znowu przychodzili upominać się natarczywie o swoją należytość. Wiadomo, że ten sposób korzystania z kredytu jest bardzo kosztownym, zwłaszcza jeżeli dochody zawodzą i dłużnik nie jest w stanie uiścić się na termin. Stanisław posiadał wprawdzie jeszcze około 5000 id. z owej sumy, która mu spadła tak niespodzianie, ale pod żadnym warunkiem byłby jej nie tknął, ponieważ procent od niej obracał na utrzymanie matki. Z obawy, ażeby kiedy, przyciśnięty potrzebą, nie tknął tego funduszu, uprosił nawet Smiechowskiego, żeby go wziął do przechowania, pod pozorem, że w kawalerskiem pomieszkaniu niebezpiecznie jest trzymać tak znaczne pieniądze. Ponieważ atoli, zdaniem ekonomistów, człowiek musi jeść raz przynajmniej w 24 godzinach — »mniejsza o to, jakim sposobem, ale *musi*«, powiada J. S. Mill — ponieważ nadto musi mieszkać, zapłacić praczkę i dać połatać buty, więc Stanisław na pokrycie wszystkich tych potrzeb w pierwszym miesiącu pożyczył 15 idealników i był winien 20 — w drugim musiał pożyczyć 35 i był winien 50, w trzecim pożyczył w dwóch partjach po 45 i 25 i był winien 105, a z końcem szóstego miesiąca nietylko był winien 300 z górą idealników sześciu czy siedmiu rozmaitym finansistom, ale w dodatku nie znalazł już żadnego, któryby się podjął znegocjowania dalszej, niezbędnej pożyczki.

Jan nam wiadomo, dr. Mitręga przez cały ten czas żył na bardzo wielką skalę, ale Stanisław nie śmiał jakoś przypomnieć mu swych 4 do 5 tysięcy idealników, któremi mu wygodził. Widywał go zresztą tylko wtedy, gdy dr. Mitręga potrzebował pomówić z nim o napisaniu jakiego artykułu, wystawiającego zalety Banku Filodemicznego i mnogie dobrodziejstwa, jakiemi instytucja ta obsypuje lud, jęczący w ręku lichwiarzy. Raz przy takiej sposobności, gdy chodziło o odparcie bardzo zjadliwej krytyki czynności Banku, umieszczonej w *Postępie Wilkowskim*, dr. Mitręga zawołał nagle:

— Ach, prawda! Wszakże ja jestem pańskim dłużnikiem! Bardzo przepraszam, że dotychczas nie uiściłem się, ale jak panu wiadomo, wlazłem w to kupno dóbr... Skoro tylko ureguluję moje interesa, nie omieszkam odesłać panu tę bagatelkę...

Stanisław był tak zaambarasowanym, że nie zdołał odpowiedzieć nic, jak tylko że to w istocie bagatelka...

— Ale pan musisz potrzebować pieniędzy,— dodał dr. Mitręga, jakoby uderzony zarówno nowością jak i trafnością swojego pomysłu — a mówią mi, że w kasie nie ma ani mizeraka! Może pan zechcesz przyjąć to na rachunek procentu od mojego długu...

To mówiąc, szanowny doktor ofiarował Wołodeckiemu wspaniałomyślnie piętnaście idealników, i uraczył prócz tego długiem opowiadaniem, jako stary Kluszczyński oszukał go przy wypłacie posagu Natalji, jako prowadzi dom z przychodów własnego majątku, bo żona nie ma już i szeląga, i jako uznał za stosowne pomnożyć ten majątek przez nabycie rozległego klucza Jałowieckiego, a następnie wszedł w interes o ogromne dobra Zrębowskie...

Dr. Mitręga w istocie nabył te wszystkie nieruchomości. Wydobywszy prośbą i groźbą od p. Kluszczyńskiego drugą połowę posagu żony, kupił majątek Jałowice, otaksowany na 150 tysięcy, a obdłużony na 120, dopłacając 30 tysięcy właścicielowi. Następnie zaciągnął na Jałowice nową pożyczkę, na spłacenie dawniejszej, w jakimś szalonym banku zagranicznym, który pożyczył 150.000. Kapitał ten obrócił dr. Mitręga na kupno ogromnych obszarów Zrębowa, składających się wyłącznie z lasu, niegdyś wysokopiennego, a obecnie na całej swojej przestrzeni — dzięki zapobiegliwości poprzedniego właściciela, bardzo zachęcającego do *»buszowania«* na słomki, ponieważ nigdzie gałęzie nie przeszkadzały brać na cel tego szybkolotnego ptaka, tak trudnego do ubicia w wysokim lesie. Zrębów był także mocno obdłużony, ale dr. Mitręga spodziewał się, że zapłaciwszy 150.000 idealników, zdoła wyrobić w banku wyższą pożyczkę. Na nieszczęście, cudzoziemcy zwietrzyli coś o właściwym stanie tego majątku, i pożyczka szła oporem. Tymczasem Jałowice niosły zaledwie połowę tego, ile potrzeba było płacić bankowi, a Zrębów nie niósł nic wcale, ponieważ władze milicyjskie ze względów kultury krajowej zabroniły wycięcia reszty lasu. W takich warunkach dr. Mitręga postanowił nie płacić wcale rat bankowych, i wskutek tego obydwa majątki wystawione były na sprzedaż publiczną, a tymczasem, znajdowały się w ręku sekwestratorów, przez banki ustanowionych. Jeżeli zważymy, że dr. Mitręga z 20.000 idealników, które mu zostały po kupieniu Jałowic, i z 6000, które ściągnął z pierwszego roku dzierżawy, zmuszony był prowadzić przez cały rok dom na wielką stopę, to pojmiemy, że nie mógł Wołodeckiemu dać więcej jak 15 idealników na rachunek swego długu.

Wkrótce też płacz i zgrzytanie zębów w redakcji *Orędowniczki* doszły do tego stopnia, że dr. Mitręga uznał za stosowne nie pokazywać się tam wcale, i już tylko pisemnie komunikować się z Wołodeckim, zawsze atoli tylko w interesach Banku Filodemicznego i traktujących o nim artykułów. Przeciw umieszczeniu tych artykułów piorunował codziennie *Postęp*, a w końcu opinja publiczna i sam Kosturski wraz z resztą współpracowników zaczęli sarkać,

że bronią nieczystej sprawy. Jednocześnie oświadczyli robotnicy w drukarni, że przestaną pracować, jeżeli nie otrzymają zaległych należytości. Złożono radę wojenną w redakcji, na której stanęło, ażeby nie umieszczać więcej artykułów o Banku Filodemicznym, i ażeby wezwać kategorycznie dr. Mitręgę do uregulowania interesów wydawnictwa. Wezwanie to pozostało bez skutku, i w tych warunkach współpracownicy *Orędowniczki* doczekali się końca owego szóstego miesiąca, kiedy, jak powiedziałem, Stanisław miał już przeszło 300 idealników długu, i nie miał wcale kredytu.

U wejścia do biór redakcyjnych czatowało pół plutona Judaszów w nader machabejskiej postawie. Wewnątrz, pięć głodnych żołądków przeszkadzało pięciu głowom w dokładnem i wyczerpującem traktowaniu rozmaitych zagadnień politycznych, ekonomicznych, społecznych, i lokalnych. Można sobie wyobrazić, że robota szła nie sporo, i nie rozweselały strapionych takie nawet żarty, jak kiedy Kosturski, przerywając nagle grobową ciszę, odezwał się do ekonoma politycznego:

— Słuchaj, Nieporadnicki, a może byś poszedł na ostrygi?

Ogólne krząkanie oburzenia, było jedyną odpowiedzią na tę obelgę, którą nędza wyrządziła nędzy.

— Wiecie co, ja mam projekt! — odezwał się po chwili kronikarz brukowy. Wystosujmy zbiorową notę do kasjera, może nam przyśle choć idealnika, i zafundujemy sobie śniadanie, bo już doprawdy czuję jakieś reumatyczne strzykanie w żołądku, i to od wczoraj wieczora.

— I ja także! — zawtórował Nieporadnicki.

— I ja! — odezwały się żałośnie »Sprawy zagraniczne.«

— Ależ-bo i ja! — dodał Kosturski. A pan, panie Wołodecki?

Stanisław krząknął tylko, co uważano za odpowiedź wystarczającą. Od trzech dni nie miał nic w ustach.

Za pośrednictwem Marcina, otrzymał tedy wkrótce kasjer *Orędowniczki* następujące pismo, zaopatrzone pięciu podpisami:

Pięciu, głodnych za dziesięciu,
Błaga cię: sięgnij do kasy
I pomóż nam w przedsięwzięciu
Kupienia łokcia kiełbasy...

Tak jest, »to los« bohaterów moich: suchą kiełbasę jadać!

Na szczęście kasjer, oprócz serca czułego na podobne odezwy, miał w szufladzie trzy idealniki, których jeszcze dnia tego nie zabrał był dr. Mitręga, i z których półtrzecia przysłał petentom. Zrobiono składkę: każdy z uczestników biesiady przyczynił się do niej dwudziestoma mizerakami, a trzydzieści schował sobie na później. Marcin przyniósł wódki, bułek, i upragnionej kiełbasy, ku wielkiemu zgorszeniu Machabejczyków czekających w bramie i sarkających, że ich dłużnicy ucztują tak wspaniale, zamiast płacić długi. Tymczasem w biurze, przy zakąsce, ożywiła się rozmowa.

— Wiecie — zagadnął Kosturski — Oberkomisarjat zakłada w Wilkowie pismo urzędowe w języku milicyjskim, którego zadaniem będzie zwalczać dzienniki niezawisłe.

— Słyszałem — odparł kronikarz. Poszukują na gwałt redaktora. Dają trzysta idealników miesięcznie.

— Ciekawa rzecz, czy znajdzie się Iskariota, któryby przyjął te srebrniki — wtrącił Nieporadnicki.

— Bardzo wątpię — rzekł Wołodecki. Są między kolegami naszymi tacy, którzy mają swoje wady, ale sprzedajnych przecież nie ma. Możemy swarzyć się i różnić w zdaniach *pro foro interno*, ale przejść do obcego obozu, to zupełnie co innego.

Różni różnego byli mniemania w tej mierze, ale w końcu, przeważyło zdanie optymistyczne. W tem otwarły się drzwi, i weszła z wielką pompą figura, odziana w liberję oberkomisarjatu.

— Pan Stanisław Wołodecki! — zawołała wielkim głosem.

— Ja jestem! — odparł wołany.

— Jego Łaskawość, pan Ober-komisarz, prosi, ażebyś pan natychmiast stawił się przed nim!

Co rzekłszy, figura w liberji obróciła się i wyszła, nie czekając na odpowiedź — tak bowiem była pewną, że nikt nie ośmieli się nie posłuchać podobnego wezwania, które zresztą na wszystkich obecnych wywarło wielkie wrażenie. Najbardziej zdziwionym był Stanisław, po chwili wszakże przypomniał sobie, że oddawna wniósł był prośbę o przywrócenie posady nauczycielskiej, którą mu bez żadnego powodu odebrano — zapewne więc teraz zapadła jakaś decyzja w tej mierze. Przypuszczeniem tem podzielił się z kolegami. Została wszakże jeszcze jedna trudność do załatwienia, ta mianowicie, jak wyjść z bióra w obec blokady, o której kilkakrotnie wspomniałem. Machabejczycy gotowi byli towarzyszyć mu aż do oberkomisarjatu, co dla kandydata do stanu nauczycielskiego mogło być niezmiernie kompromitującem. Genjusz kronikarza brukowego znalazł i na to sposób. Marcin sprowadził jednokonkę krytą, która zajechała na podwórze. Stanisław dostał się do niej przez okno, przez które niegdyś Machiawel pożarł był kosz redakcyjny, i dorożkarz ruszył z miejsca tak szybko, że bez trudności przebił blokadę. Zawiózł on Stanisława do jego mieszkania, bo ten potrzebował przebrać się przed audjencją. Ostatnich trzydzieści mizeraków, które posiadał, pochłonęła ta podróż.

— Teraz — pomyślał sobie — albo zostanę napowrót profesorem, albo za kilka dni zginę z głodu i zimna. Wszak sprzedałem już nawet surdut zimowy, a tu dopiero jesień się kończy!

Ale Ober-Komisarz nawet sobie nie przypominał, że Wołodecki był kiedykolwiek nauczycielem, znał go tylko jako zdolnego pisarza; przyjął bardzo grzecznie.

— Pan masz wielki talent? — zapytał go między innemi. Na szczęście nie czekał na odpowiedź, ale dodał: — O, wiem o tem; czytuję z przyjemnością pańskie prace w *Ogrodniczce*... czy jak się to nazywa?

— W *Orędowniczce Wilkowskiej*.

— A tak, tak! Otóż to bardzo pięknie z pańskiej strony. Kraj potrzebuje takich ludzi. Należy objaśniać, prostować opinję, nie dać pójść na bezdroża. Rząd, dbały o dobro poddanych, zakłada właśnie w tym celu organ, i polecono mu pana na głównego redaktora. Mój sekretarz spisze z panem kontrakt, który pan oczywiście przeczytasz przed podpisaniem i który możesz zmienić we wszystkiem, co się uzna jako słuszne.

Tu Jego Łaskawość sięgnął już ręką do dzwonka, ażeby przywołać sekretarza, gdy Stanisław, przyszedłszy nieco do siebie ze zdumienia, przemówił, i to nierównie więcej stanowczo, niż podczas pierwszej swojej audjencji.

— Wasza Łaskawość jesteś w błędzie; ja nie mam najmniejszej kwalifikacji na urzędowego redaktora. Blizko dwa lata temu, Wasza Łaskawość posądziłeś mię o doloryzm...

— Tatatata! Przecież nie potrzebuję się obawiać, byś pan propagował doloryzm w organie urzędowym. To pan przy swoim talencie zrozumiesz, że pismo urzędowe opierać się musi na zasadach konserwatywnych, na poszanowaniu władzy, jaka jest od Boga dana, i na tłumieniu wszelkiej opozycji niewczesnej i nierozsądnej. Opozycja — i owszem: rząd potrzebuje opozycji, ale nie takiej, jaką wy prowadzicie w waszych gazetach; opozycji rozumnej, wytrawnej. A więc, jak powiadam, spiszesz pan kontrakt...

— Darnje Wasza Łaskawość - nie spiszę wcale kontraktu.

— Jakto, nie chcesz pan kontraktu? Ależ musisz pan mieć jakieś zapewnienie... Porzucasz pan na każdy sposób dotychczasowe swoje zajęcie...

— Nie porzucam go bynajmniej.

— Jakto? Co to? Chciałbyś pan pisać i tu i tam?

— Tam, jedynie.

— Więc... więc pan odmawiasz przyjęcia redakcji organu urzędowego?

— Tak jest, odmawiam — odrzekł Stanisław z ukłonem. — Nie jestem dolorystą, ale umiem pisać tylko tak, jak mi własne przekonanie dyktuje.

Oberkomisarz zerwał się był z kanapy, i miał minę człowieka, w któregoby oczach jedna z trzech najwyższych wież Wilkowa, spakowawszy manatki, wyemigrowała z Milicji i Landwerji i przeniosła się na stałe pomieszkanie do Sokołowa. Stanisław widząc, że nie ma tu po co dłużej popasać, ukłonił się raz jeszcze i wyszedł. Oberkomisarz stał jeszcze chwilę w swojem zdumieniu, aż w końcu wzniósł ręce w górę i zawołał:

— I ci ludzie żalą się czasem, że nie mogą zrobić karjery!

Poczem zadzwonił i rzekł do wchodzącego sekretarza:

— Posłać po tamtego drugiego... jak się nazywa?

— Wiklicki.

— A czy ma całe buty?

— Ma, Wasza Łaskawości.

— No, to lepiej nie posyłać. Odkomenderować kancelistę z oberkomisarjatu, niech redaguje, a jak będzie źle redagował, to go napędzić!

Z tego epizodu przekona się szanowny czytelnik, że to co tutaj piszę, działo się w istocie bardzo daleko od miejsca, w którem drukuje się moja powieść.

Tymczasem Stanisław, pozbawiony swoich 30stu mizeraków, jakoteż nadziei odzyskania posady nauczycielskiej, wracał do redakcji, medytując nad tem, jakby też powtórnie przebić blokadę. Ale korpus blokujący oddalił się już był, ze względu na porę obiadową, i zostawił tylko jeden posterunek, który nie należał do specjalnych opiekunów p. Wołodeckiego. Posterunek ten, ozdobiony długiemi rudemi pejsami, przechadzał się w oczekiwaniu rychłego sukursu po pod kasą i ekspedycją *Orędowniczki*, do której z ulicy prowadziło kilka kamiennych schodów. Przechadzał się nucąc pod nosem jakąś niewyraźną melodję, i nie zwracając najmniejszej uwagi na innych przechodniów ani w ogóle na to, co się działo dokoła, z głową nieco do góry zadartą, jak to jest zwyczajem Hebrejczyków, trudniących się drobnym handlem albo lichwą, ilekroć jaki specjalny interes nie zwraca na siebie ich niespokojnej uwagi. Gdy Reb Szaja w tym półsennym stanie znalazł się prosto naprzeciw drzwi od kasy, te otwarły się z łoskotem i wyleciał z nich jakiś nader elegancko ubrany mężczyzna, któremu do nabycia tej szybkości dopomogła widocznie jakaś pięść herkulicznych rozmiarów, która na chwilę ukazała się w drzwiach po za jego plecami. Mężczyzna ten, uderzając jak bomba w Reb Szaję, powalił go w błoto, i zgubił kapelusz; ale podniósł go szybko i popędził dalej, raz tylko się obróciwszy.

Stanisław, ku osłupieniu swojemu, poznał w wydalonym w ten sposób jegomości — dra Emanuela Mitręgę. (C. d. n.)

WSPOMNIENIA LEKARZA
z wojny turecko-rosyjskiej w r. 1877 i 1878

przez

dr. A. SOIKĘ.

I.

Coll-Aghassi. Wyjazd do Tryjestu. Na okręcie «Hungaria». Syra. Życie na pokładzie.

Z początkiem jesieni roku 1877 stanął w hotelu „Arcyksięcia Karola“ w Wiedniu Stefan-basza, z pełnomocnictwem werbowania lekarzy na przeciąg wojny turecko-rosyjskiej.

Naówczas Osman-basza gromił Moskali, a Stefan-basza oświadczył, że dokąd ten bohater żyć będzie, nikomu w państwie padyszacha włos z głowy nie spadnie.

Mimo to radzono powszechnie, nie narażać się na niebezpieczeństwa, jakie groziły Polakowi w razie dostania się w moskiewską niewolę, i twierdzono, że oba przeciwne obozy nie trzymały się skrupulatnie praw genewskiej konwencji, ochraniających lekarzy i chorych. Nadto straszono mnie fanatyzmem Turków, rzezią wszystkich chrześcjan, a w najlepszym razie obcięciem nosa i uszów; dalej śmiercią od kuli nieprzyjaciela, epidemjami, jakie towarzyszą każdej wojnie i t. p.

Chociaż pogłoski te nie pozostały bez wpływu na mnie, postanowiłem jednak korzystać z nadarzającej się sposobności, pomny, iż wojna dla lekarza jest wielką szkołą doświadczenia. Zaciągnąłem się dobrowolnie, a mianowany Coll-Aghassi (lekarzem sztabowym), podpisałem kontrakt, zawarty w języku francuskim, między mną a rządem półksiężyca, myśląc sobie, może to i wyrok śmierci, lecz za to, w razie szczęśliwego powrotu do kraju, nie jeden mi pozazdrości moich przygód i mego poświęcenia dla cierpiącej ludzkości.

Ostatni wieczór przed wyjazdem z Wiednia, przepędziłem w towarzystwie kuzynki i przyjaciółki P. Z razu bawiliśmy się dość wesoło i żartowaliśmy z wyroczni nieparzystej liczby obrywanych listków goździka, lecz powoli śmiech ustał i tylko oczy pośredniczyły w wymianie uczuć. Tu nastąpiło serdeczne pożegnanie. Kropla łzy gorącej padła na moją twarz — był to mój amulet. Wyrwałem się i jak pjany potoczyłem się ku domowi.

Nazajutrz, w piątek, 21. września, zabrałem się gotów do podróży, która miała prowadzić na Tryjest morzem do Konstantynopola, dokąd statki odchodziły tylko raz na tydzień co sobotę. Innej drogi do Turcji, naówczas wolnej od Moskali, nie było. Zaopatrzyłem się tylko w to, co uważałem za nieodzownie potrzebne w kampanji, gdyż niepodobna było przewidzieć przydzielenia, czy do armji w Szypce, gdzie w przesmykach Bałkanu zimno dotkliwe czuć się daje, czy do Azji lub Konstantynopola, itp. Pożegnałem znajomych i pełen najrozmaitszych uczuć, rzuciłem się do fiakra, żałowany przez wszystkich, szczególniej przez płeć piękną, która widziała we mnie straceńca.

Na dworcu kolei południowej zaznajomiłem się z dwoma innymi lekarzami, o których Stefan-basza mi już wspominał, Austrjakiem dr. H. i Prusakiem W.; pierwszy odbył kampanję włoską, a drugi francuską r. 1870. Wkrótce zawiązaliśmy rozmowę, której ciąg dalszy przybrał szersze rozmiary w wagonie, a gdy i towarzystwo damskie przybyło, bawiliśmy się anegdotami i opowiadaniem przygód z życia, jak gdybyśmy za pomnieli o tak wzniosłym celu, naszej, do kraju niebezpieczeństw podróży. Poważniej nastroił mnie widok morza, które z razu wziąłem za błękitną równinę falującej trawy, pod strażą pysznego zamku Miramare

W Tryjeście nie mogliśmy się opędzić przed natarczywością przewodników, chcących nam towarzyszyć jako cicerony. Ledwo wysiadłem z wagonu, jakby wyczytali z wyrazu twarzy moje powołanie, zaraz tytułowali doktorem i polecali swoje usługi, które odrzuciłem, mając w gronie towarzysza kolegę Signora dr. H., poznajomionego z miastem, a jeszcze lepiej z językiem włoskim, z czasów kampanji. Podjęliśmy grandjoso pielgrzymkę po mieście perłowem, i zawadziliśmy tu i ówdzie po kawiarniach o kieliszek malagi, którą dr. H. chwalił sobie jako: muolto buono caro mio collega. Był to stary poczciwiec, nieco pedant, miłośnik sztuk pięknych, sam nawet nieźle malował. W węzłach małżeńskich nie znalazł szczęścia, jak to się z jego rozdziału z żoną domyślać było można. W ciągu tych chwil krótkich wyrodziła się między nami poufałość, oparta na wzajemnym szacunku. Na pospiesznym okręcie austr. Lloydu „Hungaria“, który nas miał w Konstantynopolu wysadzić, umówiliśmy się zejść wszyscy razem; lecz staremu zachciało się kąpać w łazienkach tryjesteńskich, opuścił nas, a zażywając za długo włoskiej hydropatji, niemało nabawił nas strachu, bo ledwie w ostatniej nadszedł chwili.

Mój drugi towarzysz, chirurg, o twarzy księżyca w pełni, posiadał dwie własności, wspólne północnym Niemcom: najprzód wymowę z niezwykłym u nas naciskiem zgłoski *r*, a potem zarozumiałość, przekraczającą wszelkie granice. Rozprawiał o swojej wyprawie pod murami Paryża takim tonem, jak gdyby sam pobił Francuzów, obstawiwszy ich pijawkami i plastrami.

Na pokładzie mrowiło się od pasażerów i odprowadzających krewnych i gości. Gdy odgłos dzwonu zwiastował wyjazd, nastąpiły sceny pożegnalne. Każdy kogoś żegnał i ściskał, ja tym razem na sucho obejść się musiałem, bo za mało miałem czasu, by znaleść nowych przyjaciół i przyjaciółki. Kto nie był pasażerem, musiał już spiesznie pokład opuszczać. Odsunięto zwodzony most, założono kotwicę na dziób okrętu, umocowano cztery ratunkowe łodzie, i na rozkaz kapitana, ogrom ryknąwszy trzy razy ze smoczej paszczy, odbił od brzegu, najprzód powoli, potem coraz raźniej i popłynął na Adrjatyk. Wkrótce straciliśmy z oczu powiewanie kapeluszy i białych chusteczek, a potem miasto i port. Wielka otchłań morza dzieliła myśli nasze od stron rodzinnych. Płynąłem po raz pierwszy po przestrzeni morza, na majestatycznym parostatku śrubowym z żaglami. Uszy moje bawiła melodja jaka „wre i szumi i huczy i pryska“ z pod kół obrotowych; a gdy zjawił się wiatr pomyślny, chwytał oczy moje widok rozpiętych żagli, jak wzdymają się i dyszą, ażeby prędzej zdążyć do celu.

Nie taję, że pierwszego dnia, leżąc na pokładzie, straszne nasuwały mi się myśli: czy i kiedy powrócę, czy znajdę wszystkich tych, których odjechałem? Ale starałem się rozrywać, unikając samotności. Tem łatwiej mi to przyszło, że spotkałem na statku panienki znajome mi dobrze już z podróży koleją, które jechały do Aten.

Żegluga nasza była pełną wdzięku i korzyści już dlatego samego, iż okręt, płynąc najprzód po Adrjatyku, dotykał ważnych miejscowości, jak Lissa, Nawaryn, miejsca sławne z bitew morskich, Brindisi, Korfu — gdzie na kilka godzin wysiedliśmy zwiedzić wyspę Pheaków, na której złe i ciepłe piwo płaciliśmy po franku szklankę — potem przylądek Matapan, Kandję, a dostawszy się na morze Śródziemne, przez półtora dnia nie widzieliśmy lądu. Nareszcie wpłynęliśmy na morze Jońskie i Egejskie, objechawszy tym sposobem całą Grecję na około i wzdłuż Małej Azji.

W miarę, jakeśmy się zbliżali do brzegów Ziemi klasycznej, o której tylekroć w gimnazjum marzyłem, roztoczył się przed oczami naszemi widok napawający duszę uroczystą powagą i czcią dla pamiątek. Było to jedno z większych dla mnie wrażeń. Homera Iliada i Odyssea stanęły nam żywo w myśli — przytaczaliśmy niektóre ustępy i czuliśmy pewien rodzaj szczęścia mogąc

*

oglądać wyspy, na których wodach błądził nie raz Odysseusz, i ruiny Troi, które zdaleka tem wspanialszemi nam się wydały.

Wyspy, wzdłuż których płynęliśmy, rozsypane jakby perły po Egiejskiem morzu, zachwycały malowniczością. Domy w dzień ozłocone promieniami słońca, a w nocy z wewnątrz oświecone, wyglądały jak zaklęte zamczyska.

Na Cykladach wysiedliśmy w Syra. Gdy okręt zarzucił kotwicę, pośpieszyliśmy na łódkę, która nas w samem mieście wysadziła. Poszliśmy je oglądać, wziąwszy z sobą przewodnika. Syra składa się jakby z tarasów, ma ulice schludne, wysadzone palmami, drzewami figowemi oraz posiada liczne wystawy starej zbroi, sprzętów i t. p. Owoce w swoim rodzaju są szczególne i olbrzymie; tak n. p. jedna gałązka winogron ważyła dwie ok (około 6 funt).

Gorąco tropikalne tak przyjemne na morzu, na lądzie dotkliwie uczuwać się dawało.

Ubrany w jesienną zarzutkę i spinając się po stromych ulicach, byłem jak w kąpieli. W rynku, na placu wyłożonym kostkami, była kawiarnia pełna polityków obradujących nad losami Grecji. Ludność jest grecką i nie zbyt odważną. Będąc na zamkowej górze, słyszałem jak żołnierz mówił, że gdy tylko Plewna upadnie, to i oni zabiorą się do wojny. Co za odwaga!

Szyldy i napisy są w języku greckim. Czytając na jednym lokalu „tachy dromaion", myślałem, że to pewnie jakieś miejsce zabawy w guście hipodromu na Praterze. Idziemy więc zabawić się, lecz wielkie było nasze rozczarowanie gdy się pokazało, że to był urząd pocztowy, i do tego z usługą męzką... Kazaliśmy przewodnikowi, ażeby nas zaprowadził do sklepu na wino. Olbrzymie beczki sięgały sufitu. Za krzesła służyły beczułki lub ławy, bez nóg, na czarnej ziemi zamiast posadzki. Na stole improwizowanym z deski, postawił gospodarz zachwalone, miejscowe białe wino, nie do picia, cierpkie i gorżkie. Za to muskatelowe krople były wyborne. Obiegową monetą w Syra, są miedziane leftas i srebrne drachmy.

Podczas tej wycieczki do Syra, nie wiele brakowało, by nas parostatek odjechał, a w takim razie musielibyśmy cały tydzień czekać na przybycie drugiego. Gawędząc, zapomnieliśmy o powrocie, gdy świst parowej maszyny „Hungarji" przypomniał nam nasze położenie. Na gwałt wracamy, roztrącając po drodze ludzi, dopadamy łodzi, a zrzuciwszy w pośpiechu chirurgowi W. kapelusz do wody, dopływamy szczęśliwe w sam czas do okrętu.

Przypominam sobie, że kupiłem paczkę tabaki do zażywania, dla złagodzenia wyziewów szpitalnych. Rzecz oczywista, że musiałem nauczyć się ją zażywać. Pierwsza próba nie udała mi się, a za drugą, wiatr porwał część tabaki, poniósł ją do nosów blisko stojących pasażerów i wywołał jeneralne kichanie. Damy podejrzewały, że spłatałem umyślnego figla i za karę zjadły mi moje sześciofuntowe winogrono. Przepraszałem i złożyłem winę na brak tabakierki.

Zresztą w Syra nic ważniejszego nie zaszło; jednak w powrocie, miasto to dla mego kolegi dr. H. stało się fatalnem, o czem później.

Nasz okręt „Hungarja", który w porcie tryjesteńskim odznaczał się olbrzymimi rozmiarami, na przestworzu morza wydawał się łupiną orzecha. Gdyśmy przybyli do Besica Bai, gdzie stała wojenna flota angielska z 12 pancerników i jednego wieżowego okrętu złożona, zatrzymaliśmy się dla wzajemnej wymiany listów. Srożyła się naówczas silna burza z deszczem, piorunami i błyskawicami. Marynarze angielscy, wybrali się do nas na małej parowej łodzi. Trudno było zbliżyć się do okrętu. Wiatr miotał nimi jak chłopiec piłką. Piękny a zarazem straszny był widok, jak łódź mocowała się z rozkiełzanym żywiołem, podrzucana z dolin falistych na napiętrzone kilkosążniowe góry bałwanów, a potem wtrącana napowrót w otchłań wody. Przytem zalewały ją spienione fale, jedna po drugiej. Anglicy, których odzienie, począwszy od butów i spodni, aż do czapki i kapuzy, było całe z gumy, stali po kolana w wodzie i trzymali się kurczowo żelaznych slupków parowej maszyny, aż wreszcie, rzecz godna podziwu, dotarli do nas. Lecz tu nowa była do pokonania trudność utrzymania się za pomocą haków przy naszym okręcie, od którego rozhukane bałwany łódź odrzucały. Dopiero wspólnemi siłami okrętowej służby, dopięto celu.

Przeważnie jednak mieliśmy czas pogodny. Wschód i zachód słońca, księżyc kąpiący się w wodzie, cisza głęboka, przerywana jedynie turkotem maszyny i monotonnym szumem przerzynanych fal, tysiączne iskry wyłaniające się z morza wskutek fosforyzacji, wszystko to upajało mi zmysły. Godzinami przypatrywałem się cudownym tym natury zjawiskom i nie wiedziałem, czy nie mam zazdrościć pustelnikowi, osiedlonemu na jasnych skałach Kap Matapanu. Wspominam o nim, albowiem żyje on z uprawy ziemi mieszkając samotnie w szałasiku, na którym powiewa zatknięta chorągiew biała, niosąca pozdrowienie przejeżdżającym statkom. Czasami sam wita i żegna białą chustą powiewając.

Ptactwo towarzyszyło nam tylko w pobliżu wysp i goniło za parowcem, karmiąc się resztkami obiadów. Srebrzyste mewy wiosłowały swobodnie po bezdennej toni. Z wielorybem nie mieliśmy zaszczytu się spotkać. Zastępowały go rozkoszne ryby, bujające po przejrzystem zwierciadle.

Czas na morzu przepędziliśmy wśród rozmów i spostrzeżeń, rozkładaliśmy mapy przed sobą i badali, wieczorami dawaliśmy muzykalne i wokalne produkcje na pokładzie, inni grali w karty lub czytali książki, młodzież umizgała się do panien, a reszta słabowała.

Apetyt wskutek klimatu morskiego mieliśmy niesłychany, a ponieważ poleconem jest, mieć pełny żołądek, gdy choroba morska napadnie, więc nasze kolegium doktorskie wywiązało się ze swego zadania jak Sancho Pansa, nim został mianowany namiestnikiem.

Nie taki spokojny obraz przedstawiali inni pasażerowie, zwłaszcza płeć piękna i dzieci. Siedziałem obok ładnej eterycznej osoby (p. A.), i rozmawiałem o sercu i innych pełnych poezji rzeczach; wtem nastąpiła rzeczywistość... i proza ta, przypominająca człowieczeństwo sprawiła, żem zeszedł z Olympu i potrzymał jej główkę, i znowu było wszystko dobrze.

Odzież nasza od długiej żeglugi była solą przesiąknięta i wilgotna, jakby łzami zroszona, również i cała twarz, wystawiona na działanie morskiego powietrza. Na lądzie powszechnie twierdzą, iż całusy są słodkie, na morzu były one przesolone.

Lubiąc swobodę, nie mogłem znieść spania w gorącej jak łaźnia kabinie, więc pierwszej zaraz nocy wyniosłem przybory moje na pokład. Znużony marzeniem o przeszłych losach moich w Turcji, usnąłem silnie, aż tu, deszcz niespodziewanie zaczął lać bez litości. Zbudziwszy się, nie wiedziałem nawet, gdzie jestem, czy we śnie, czy na jawie, czy na lądzie lub morzu. Nakoniec ocknąłem się, a widząc, że to nie żarty, zbieram moje kości i bagaże, biegnę od jednej kabiny do drugiej, lecz fatalność nowa, mojej znaleść nie mogę. Odsuwam zasówki pierwszych lepszych drzwi i dobywam się do cudzych kajut podróżnych snem upojonych, słysząc chrapanie lub opryskliwe słowa jako nagrodę dla wichrzyciela nocnego spoczynku. Dopiero po dłuższem tułactwie zorjentowałem się w geografji „Hungarji".

Wspomnieć muszę, iż my, kolegium doktorskie byliśmy na okręcie przedmiotem pożałowania. Uważano nas za ofiary złudzone przez Turków. Rozpowiadano o nich najokropniejsze rzeczy i radzono nam zaraz ze Stambułu wracać do kraju. I my sami nie mieliśmy zbyt pochlebnego o Turkach zdania; tem bardziej z nikąd nie słysząc słowa pociechy, należało mieć żelazną wolę, ażeby wytrwać w raz przedsięwziętym zamiarze.

Wystrzał armatni oznajmił nam, żeśmy się zbliżali do Dardenellów. Słońce właśnie co zaszło. Rozchodziło się więc o to, czy nas jeszcze przepuszczą przez cieśninę, którą podczas wojny żaden okręt nie mógł przekroczyć po zachodzie słońca, bez narażenia się na gradobicie kul. Nie wolno też było wysiadać, co zresztą było niemożliwem z powodu braku łodzi. Nic nie pomogło; musieliśmy nocować na morzu. Nazajutrz ze świtem przejechaliśmy tę sławną ulicę między skałami, pod strażą kilku twierdz z których wyzierały działa i wpłynęliśmy na morze Marmara.

(C. d. n.)

PISMIENNICTWO POLSKIE.

«Uwagi krytyczne o galicyjskiej organizacji gminnej i wnioski reformy.» Napisał dr. Franciszek Kasparek profesor uniwersytetu. Kraków 1880. str. 136.

Potrzeba publicznej dyskusji nad naszą ustawą gminną, nad samorządem w ogóle, który ma wiele wad i niedogodności, coraz więcej czuć się daje, i dlatego najmniejszy przyczynek literacki w tej pięknej sprawie, choćby tylko wykazał jednę ze stron dodatnich lub ujemnych ustawy, jest bardzo pożądanym nabytkiem. Z uznaniem też powitaliśmy powyższe dzieło dra Kasparka, który skalpelem krytycznym rozebrał wsystkie wadliwości ustawy i wykazał do jakich smutnych rezultatów może doprowadzić ściśle jej zastosowanie, w naszych także smutnych stosunkach. Część I. dzieła dra Kasparka nie pozostawia nic do życzenia. Nie pominął najmniejszej wady, odkrył każdą słabą stronę i okazał się bystrym spostrzegawcą, doskonałym analitykiem. Część II. zawierającą Wnioski pozytywne do reformy gminnej" rozpoczyna autor od słów: „Łatwiej krytykować, niż budować." Nigdy nie wątpilismy w prawdę tego zdania, tem mniej wątpimy po przeczytaniu części drugiej pracy szanownego profesora. O ile bystrym analitykiem, o tyle jako syntetyk jest słabym, a kto, jak piszący, nie ex catedra, ale z bliska, przypatrzył

się samorządowi z jego dzisiejszemi wadami, ten może się poddać najstraszniej rozpaczy, gdyby na chwilę przypuścił, że projekt autora mógłby wejść w życie. Dr. Kasparek zwalcza projekt reformy gminnej dra Dunajewskiego, zawarty w „Zarysie organizacji władz administracyjnych dla Galicji“ i stawia nowy projekt reformy. Jakkolwiek nie godzimy się bezwzględnie na zasady reformy podane przez dra Dunajewskiego, jednakowoż bez namysłu przyjęlibyśmy jego projekt, gdyby nam zostawiono jedyną albernatywę wyboru: albo Dunajewski, albo Kasparek... Dość powiedzieć że projekt dra Kasparka polega na *powiększeniu liczby* władz; że obok Starostw i Wydziałów powiatowych stawia „Komisję powiatową gminną“ z osobnym zakresem działania, a obok Namiestnictwa, i Wydziału krajowego „Komisję krajową gminną“ także z osobnym zakresem czynności, coś na wzór Rad szkolnych miejscowych okręgowych i krajowych, tylko z większemi, rozleglejszemi atrybucjami... Od powietrza... głodu... i reformy takiej racz nas zachować Panie! A tożby dopiero pięknie wyglądał nasz samorząd! Już by wtedy nie było rządzonych ale *samerządy*. W każdym razie dzieło dra Kasparka jest na czasie, a część jego krytyczna, bardzo dobra i wielce pouczająca, wynagradza braki części syntetycznej i służyć może za przewodnika w rozpoznaniu sprawy, która nie schodzi prawie z porządku dziennego. Radzibyśmy widzieć to dzieło w rękach naszych posłów sejmowych; możeby im przypomniało że czas już pomyśleć o zmianie stosunków gminnych w drodze ustawodawczej; a może natchnęło do obmyślenia konkretniejszych projektów, jak podany przez autora. — Ponieważ praca dra Kasparka, jest odbitką z XIII. tomu Rozpraw Akademji Umiejętności, pozwolimy sobie na zakończenie wyrazić prośbę, aby Akademja raczyła w przyszłości postarać się o lepszą korektę swych publikacyj, gdyż korekta w dziele dra Kasparka, wcale zaszczytu nie przynosi ani drukarni, ani Akademji. Od wielkich ludzi wielkich wymaga się zwykle rzeczy — my od nich tymczasem małych — bardzo małych żądamy.

W. J. Wdowiszewski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Odezwa. Odkrycie. Pomnik Stanisława Jabłonowskiego we Lwowie. Rada miejska. Przyjazd Siemiradzkiego i Tissota. Wydawnictwa Towarzystwa Pedagogicznego. Nasi artyści.)

Od komitetu zajmującego się urządzeniem obchodu półwiekowej rocznicy powstania listopadowego, otrzymujemy następujące ogłoszenie:

„W wykonaniu punktu 3. programu obchodu 50-letniej rocznicy powstania listopadowego, podaje się do powszechnej wiadomości, że robota około wybicia medalu jubileuszowego już się rozpoczęła i że cena prenumeracyjna tego medalu oznaczoną została na zlr. 3. Do zbierania prenumeraty upoważnione są redakcje: „Gazety Narodowej“, „Dziennika Polskiego“, „Tygodnia“ udzież wszystkie księgarnie lwowskie.

Każdy z prenumeratorów, płacący zlr. 3, otrzyma medal brązowy. Medale srebrne na żądanie mogą być wybite po cenie zlr. 15.

Medal po jednej stronie wyobrażać będzie symboliczną postać Polski, z rozpostartym sztandarem, na którym uwidocznione będzie hasło Belwederczyków: „Za waszą i naszą wolność.“ Nad figurą napis: „Usque ad finem“, poniżej rok MDCCCXXX. Na odwrotnej stronie medalu, w ramie z liści dębowych i laurowych, wyryty będzie napis: „Polska bohaterom powstania listopadowego w półwiekową rocznicę.“

Licząc na żywy współudział rodaków w przyczynieniu się do pokrycia kosztów wydania tej historycznej naszej pamiątki, ogłasza się niniejszem prenumeratę na „Medal jubileuszowy“ jako otwartą. *Komitet.*

* * *

Zrobiliśmy odkrycie, za które należy się nam wdzięczność wszystkich męczenników, pozostałych na sierpień we Lwowie. A jeżeli odkrycie to będzie już znanem wielu, to nic nie szkodzi — do wdzięczności zawsze będziemy mieli prawo za przypomnienie.

Odkryliśmy tedy we Lwowie ogród, obszerny, schludny, miły, gdzie godziny wypoczynku spędzić można przyjemnie i pożytecznie. Jest to park, a raczej dwa parki po obu stronach alei, wiodącej do dworca kolei Karola Ludwika, z łąkami, laskiem, etc. etc. utrzymane we wzorowym porządku, pomimo, że nie widać tam żadnego stróża lub dozorcy. Przyjemność tego miejsca stanowi prawdziwie świeże powietrze, oraz to, że spacerujących tam nie wiele — prawie nikogo — pożytków zaś jest trzy: najprzód misterny kompas, według którego można zregulować zegarek, czego we Lwowie dokonać niepodobna, powtóre prawdziwie boskie ławki, na których najliczniejsza rodzina rzędem pomieścić się może, a potrzecie stóg pachnącego siana przykryty ceratą. Tak jest, ceratą, to jest płótnem woskowanem, które siano od deszczu chroni, i zawstydza szlachtę, u której często stogi gniją. Wprawdzie ostatni ten pożytek i płynąca zeń nauka nie dotyczy nas mieszczuchów, którzy siana nie mamy, ale to nie stanowi nic, bo, jak powiada Łatka w Dożywociu, jeżeli nie mamy, to mieć możemy. Wracając do parku, rzeczywiście ustronie to miłe i uznanie należy się dyrekcji kolei Karola Ludwika, za troskliwe pielęgnowanie tej prawdziwej oazy, tak uroczo spokojnej wśród otaczającego ją ruchu i zgiełku.

* * *

Otrzymaliśmy następujący list ze Lwowa:

Szanowny Panie Redaktorze!

„Jak cię widzą — tak cię piszą“, powiada stare przysłowie.

Otóż jak się pokazujemy i jak nas widzą, racz posłuchać, proszę.

W niedzielę przechadzałem się po wałach *Hetmańskich* (podkreślam ten wyraz), gdy nagle, wyrazy: „Wandalen! da schauen Sie her! und die wollen regieren!...“ silnym wymówione basem obiły się o mój słuch. Zelektryzowany, zwróciłem oczy na śmiałka. Silny, o okrągłych i rumianych policzkach Niemiec, wskazywał właśnie palcem na pomnik hetmana Jabłonowskiego. Rzuciłem okiem i zrozumiałem rzecz — a rumieniec wstydu oblał mi twarz.

I cóż tam było tak okropnego? zapytasz. Bagatelka! Pomnik formalnie ukamienowany, ranami pokryty, na wszystkich gzymsach pełno kamieni...

Wandalizm! czyż wyrok nie zasłużony?

Tuż obok przechodził właśnie organ bezpieczeństwa naszego — autonomiczny — strażak miejski

— Czy panowie nie macie obowiązku czuwania nad tym tu pomnikiem? — zapytałem.

— Nie panie — była odpowiedź — ale ja to dalej zamelduję.

Czekam i czekam, ale skutku meldunku nie ma, a kilka dni temu sam byłem świadkiem szarży na pomnik, wykonywanej przez waleczną zgraję żydziaków. Rozpędziłem hołotę.

Pójdź Szanowny Panie i obacz.“

Poszliśmy i obaczyliśmy: Hetman ranny jest dwa razy w bok, raz w lewe kolano i w ucho prawe, i biedaczysko, jak gdyby miał iść na skargę, dźwiga pod pachą corpus delicti: dwa spore kamienie, które mu tam podczas żydowskiej szarży uwięzły. Jeżeli tak pójdzie dalej, to pomnik w krótkim czasie zostanie rozbity, a i tak, biorąc miarę z kamieni, leżących na gzymsach, dziwić się można, że dotąd jest zeszpecony niewiele tylko.

Nie wiemy, komu specjalnie powierzoną jest opieka nad pomnikami miasta, sądzimy wszakże, że pilnowanie własności publicznej jest obowiązkiem policji. A nie potrzeba do tego ani specjalnego dozorcy, ani szczególnej baczności, dość ażeby policjanci mieli stosowne polecenie, a z łatwością, nie dziś to jutro schwytają szkodników na gorącym uczynku. Towarzystwo atakujące hetmana kamieniami, jest prawdopodobnie zawsze jedno i to samo, a raz należycie skarcone, nie odważy się już więcej na podobną zabawę.

* * *

Rycerska uchwała Rady miejskiej, sankcjonująca hazardowny wniosek profesora Jägermana, doznała oryginalnego rozwiązania. Następne zaraz posiedzenie Rady, zagaił prezydent dr. Gnoiński następującem oświadczeniem:

„Na poprzedniem posiedzeniu zapadła uchwała, wzywająca mnie, *abym wpłynął na tutejsze dzienniki*, iżby w objektywny sposób podawały sprawozdania z posiedzeń świetnej Rady miejskiej. *Żądaniu temu zadość uczynić nie mogę*, raz dlatego, że nie zgadza się ono z przyjętym obyczajem, który czynności ciał reprezentacyjnych pozostawia zupełnie swobodnemu ocenianiu ze strony prasy, a powtóre, każda omyłka, jakaby w tych sprawozdaniach zdarzyć się mogła, może i powinna być sprostowaną i nie potrzeba wyszukiwać na to nowych środków. Proszę zatem, ażebyście Panowie to oświadczenie moje raczyli przyjąć łaskawie *do wiadomości.*»

Wyrazy te, wypowiedziane ze spokojem i łagodnością, jakiemi odznacza się p. prezydent miasta, przyjęte zostały przez Radę miejską rzęsistemi oklaskami.

Wniosek profesora Jägermana równie rzęsiście był oklaskany... Błogosławieni... Radni stołecznego miasta Lwowa, albowiem ich jest królestwo niebieskie.

Tak więc prasa otrzymała zadosyćuczynienie.

* * *

Do Galicji przybyli Henryk Siemiradzki, oraz p. Tissot, słynny autor „Podróży do krainy miljardów“. P. Tissot zatrzymał się w Krakowie, gdzie przyjmowany gościnnie przez najwyższe sfery społeczne, ogląda pamiątki miasta, następnie ma przybyć na kilka dni do Lwowa, a potem napisać o nas książkę. Czy bawiąc w kraju

dni kilkanaście, bez znajomości języka, otarłszy się zaledwie o jedną warstwę społeczną, można o nim prawdę napisać? Bardzo wątpimy; a jednak książkę p. Tissota będzie rozchwytywała cała Europa i nas z niej sądziła. Siemiradzki z Krakowa udał się do Zakopanego i za kilka tygodni również ma zawitać do naszego miasta, z zamiarem przyprowadzenia do skutku owej powszechnej wystawy dzieł sztuki we Lwowie, o której tyleśmy mówili i pisali, a która pomimo zawiązania się stosownego komitetu, widocznie poszła w zapomnienie. Może Siemiradzki będzie szczęśliwszy i popchnie tę sprawę naprzód — w każdym razie za pamięć o nas należy mu się wdzięczność serdeczna.

* * *

Towarzystwo pedagogiczne rozwija coraz większą działalność i na polu wydawniczem. Nie będziemy tu wchodzić w ocenę wydanych dziełek, między któremi są i bardzo dobre, chcemy tylko zwrócić uwagę Towarzystwa, że ceny na swoje wydawnictwa nakłada zbyt wygórowane. Towarzystwo ma tę przewagę nad księgarzami, że prawie nie ponosi ryzyka, nie potrzebuje kosztownej reklamy, ani też dawać rabatów księgarskich; więc powinno się zadawalniać jak najmniejszym zyskiem.

Właśnie mamy przed sobą *Samolewicza Przykłady do tłómaczenia*, część I wydaną przez księgarnię pp. Seyfarta i Czajkowskiego, stronnic 156, która kosztuje 65 ct. oraz część II wydaną przez Towarzystwo Pedagogiczne, str. 140, której cena jest 1 złr. W stosunku do części 1. część II. jako nakład Towarzystwa Pedagogicznego, a więc mająca zbyt zapewniony, powinna kosztować 30 do 35 centów. A miejmy na uwadze, że książki przez Radę szkolną polecone dzieci biednych rodziców, garnące się do nauki kupują i kupować muszą.

* * *

Kiedy my, nie chcąc uczęszczać jak należy do teatru, musimy zadawalniać się w letnim sezonie przedstawieniami prestidigitatorskiemi pana Siedleckiego, artyści nasi zbierają laury gdzieindziej. Operetka lwowska cieszy się wielkiem powodzeniem w Krakowie, a dla panny Wisnowskiej pisma Warszawskie nie szczędzą pochwał. Kurjer nazywa ją *la jeune naive* sceny lwowskiej i prorokuje piękną przyszłość.

Jednocześnie występuje na scenie teatru letniego w Warszawie artystka sceny krakowskiej, znana dobrze w naszem mieście p. bar. Lüde i zachwyca publiczność pięknością, humorem i dystynkcją.

Obydwie te artystki produkują się w rolach granych do niedawna przez p. Romanę Popiel i mimowoli muszą być porównywane z tą znakomitą artystką; jeżeli więc przy takiem porównaniu nie tracą i oklaski zbierają, to już muszą na nie zasługiwać, czego im powinszować należy.

Zbiera także tryumfy w Warszawie p. Juljan Zakrzewski i p. Adolfina Zimajer, lecz nią, jako wytrawną już i ustalonej sławy artystką, pisma tamtejsze mniej się zajmują, choć kto wie, czy p. Z. nie najbardziej wstrząsa sercami Warszawian.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Pan Juljan Horain, znany i sympatyczny nasz pisarz, bawiący od dłuższego czasu w Ameryce, przyjechał na kilka dni do Lwowa.

*** W Willanowie, pod Warszawą, umarł Hipolit Skimborowicz, jeden z najstarszych i najzasłużeńszych literatów i wydawców naszych. O życiu jego i zasługach pomówimy wkrótce obszerniej. Żył lat 65.

*** W Paryżu wyszedł obecnie z druku 5ty tom dzieł Hoene Wrońskiego, obejmujący siedm rozprew napisanych pomiędzy 1803 — 1806 rokiem.

*** Wkrótce wyjdą z druku zajmujące „Podróże po Afryce“ p. Jana Finkelhausa, drukowane w różnych pismach warszawskich.

*** W Warszawie ukazała się na widok publiczny broszura p. Florjana Krassowskiego, byłego lekarza pow płockiego, p. t. „Istota cholery azjatyckiej i pospolite jej leczenie“.

*** Znany poeta i tłumacz, p. Feliks Jezierski, przełożył obecnie z angielskiego „Prometeusza“ Schelleya.

*** Tygodnik chorwacki „Wieniec“ pomieszcza w łamach swoich tłumaczenie z polskiego powieści Jana Lama: „Żona ze śniegu.“

*** Czasopismo „Koleda“ podaje w czeskiem tłumaczeniu wiersz Witwickiego „W samotności“.

Przekładu bardzo udatnego dokonał Chałupa, któremu zawdzięczają Czesi liczne prace na tem polu.

*** Dziennik rosyjski „Niwa“ pomieszcza w przekładzie ustępy z powieści Kraszewskiego p. t. „Szalona“ — dlaczego tylko ustępy oderwane, nie wiemy.

*** Pan Henryk Nitschman, znany i zasłużenie ceniony tłumacz poetów polskich na język niemiecki, wydał świeżo u Friedricha w Lipsku spory tom nowych tłumaczeń, p. t. „Iris. Dichterstimmen aus Polen“.

Znajdujemy tam następujące utwory tłumaczone: z Adama Mickiewicza całą „Grażynę“, trzy ballady („Switeź“, „Świtezianka“ i „Pani Twardowska“), tudzież dziewięć pomniejszych poezyj.

Słowackiego znajdują się przekłady całkowite dwóch poematów: „Jana Bieleckiego“ i „Ojca zadżumionych w El-Arisch“.

Z większych poematów przełożone są tu jeszcze: „Starosta Kiślacki“ Wincentego Pola i „Wizyta w sąsiedztwo“ Franciszka Morawskiego.

Oprócz tego obfity wybór tłumaczeń poezyj Z. Krasińskiego, Antoniego Edwarda Odyńca, Fr. Morawskiego i Wincentego Pola (także fragmenty z „Pieśni o domu“).

Nareszcie znajdujemy przekład wspaniałej a mało znanej u nas „Pieśni o Henryku Pobożnym“ Augusta Bielowskiego.

*** Anglicy zbierają skrzętnie wszelkie materjały do spraw wschodnich. Obecnie przełożyli na język swój pracę Kaliksta Wolskiego p. t. „The regeneration of Rumania, or the days of renaissance amonyst the Roumanians“. Tłumaczenia dokonał Oxley.

*** W Paryżu Gambetta, pragnąc przeciwważyć wpływ radykalnego dziennika Rocheforta na klasy robotnicze, zakłada wielki dziennik wieczorny po taniej cenie, poświęcony szerzeniu zasad t. z. oportunizmu.

*** Ruch umysłowy w Japonii. Gazeta japońska „Mail Summary“ z 27. lutego r. b. podaje następujące dane o wydawnictwie krajowem książek, gazet i dzienników. W ciągu dwunastu miesięcy, od 1. lipca 1878 do 30. czerwca 1879 roku, wyszło tam na widok publiczny 5317 książek, a z nich 543 treści politycznej i prawnej, 454 geograficznej, 313 leksykograficznej; 61 traktujących o handlu, 470 o wychowaniu i nauczaniu, 280 historycznych, 225 arytmetycznych, 46 chemicznych, 107 religijnych, 2818 rozmaitej treści. W tym samym przeciągu czasu powstało 236 nowych dzienników, z których jednak 80 wkrótce wychodzić przestało. Gazet i dzienników rozeszło się w Tokio i Oosaka 33,449.529 egzemplarzy, z pomiędzy których dziennik „Yomiuri“ w 6,565.786 egzemplarzach; „Nichi-nichi-shinbun“ w 3,274.520. a dzienniki „Hochi“, „Choya“, „Akebona“, „Eiri shimbun“, „Oosaka Nippo“, sprzedały każdy przeszło po 2 miljony egzemplarzy. Zaprawdę, wstydzić się nam wypadnie podobno wobec barbarzyńskiej Japonii.

*** „Kosmos“, czasopismo polskiego Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, w Zeszycie VII z r. b. zawiera: 1. Fizyka we współczesnej Francji, studjum Z. Wróblewskiego. 2. Roślinność letnia i jesienna okolic Bilcza i Cygan, podał Br. Błocki. 3. Notatki naukowe: O znachodzeniu się amoniaku w kwasie azotowym, przez M. D. Wąsowicza. 4. Kronika naukowa przez L. Hodolego i M. D. Wąsowicza. 5 Wiadomości bieżące.

*** „Gazeta rolnicza“ w Nrze 31. z r. b. zawiera: 1. Krok ku lepszemu, przez Aleks. Tylskiego. 2. Statystyka zbiorów rolniczych w cesarstwie rosyjskiem i niemieckiem, nap. prof. W. Załęski. 3. Podorywki, nap. Stan. Rewieński. 4. Listy z Szawelskiego, p. J. Godlewskiego. 5. Przegląd polityczny. 6. Wiadomości bieżące. 7. Bibljografja i krytyka. 8. Kurjer rolniczy. 9. Odcinek zawiera: Moje gospodarstwo. Nowella gospodarska p. Sewera.

Nauka.

Donosiliśmy już o pożarze, którego stała się pastwą willa Mommsena w Charlottenburgu, pod Berlinem; budynek ten trzypiętrowy zamieszkany był przez sławnego historyka i jego rodzinę.

Gabinet Mommsena i jego biblioteka, zawierająca około 40,000 tomów, znajdowały się na trzeciem piętrze.

Ogień wszczął się pomiędzy szóstą a siódmą wieczorem i trwał do drugiej godziny rano.

Pomiędzy rękopisami, wyrwanemi z płomieni, jest podobno 9-ty i 11-ty tom Zbioru napisów rzymskich z półwyspu włoskiego.

Napisy z wysp włoskich (Sycylji, Sardynji, Elby etc.) w części tylko zdołano ocalić; helweckie zaś uległy zupełnemu zniszczeniu.

Niewiadomo jeszcze, co się stało z afyykańskiemi.

Cztery cenne kodeksy historji Gotów z bibljoteki berlińskiej, wiedeńskiej, wrocławskiej i heidelberskiej spłonęły do szczętu.

Drogocenne prelekcje wielkiego uczonego w uniwersytecie berlińskim, których rękopisy spłonęły, dadzą się złożyć z notatek słuchaczów.

Natomiast przepadły „collectanea“ do przygotowywanych dzieł o „Prawie państwowem rzymskiem“ i „Historji rzymskiej“, tudzież cały materjał artystyczny do wydania starożytnych pism o historji Niemiec.

Prof. Mommsen, który ochłonął już nieco z bolesnego wzruszenia, zamierza udać się przedewszystkiem do Szwajcarji, celem ponownego zbierania tamże materjałów historycznych, które postradał.

Sztuki Piękne.

*** Świat artystyczny w Warszawie ogląda świetnie zachowany egzemplarz rycin z końca zeszłego wieku, pochodzących ze zbiorów ks. Czartoryskich w Puławach.

Wydawnictwo to rzadkie już dzisiaj nosi tytuł: "Tableaux, statues, bas-reliefs et Camées de la Gallerie de Florence et du palais Pitti, dessinés par Vicar, gravés par Lacombe; le second anné de la république. Paris 1790“.

Całe dzieło składa się z 18-tu zeszytów; dzisiejszy właściciel utrzymuje, że jest to jedyny egzemplarz, znajdujący się w kraju.

*** P. Tadeusz Ajdukiewicz pracuje nad portretami hr. Arturowej Potockiej i hr. Stefanowej Zamoyskiej.

Pracownię artysty w Krakowie zwiedza obecnie mnóstwo osób dla obejrzenia wspaniałego portretu księżnej Walerji Windischgrätz, który p. Ajdukiewicz ma na ukończeniu.

Utalentowany artysta zamierza wziąć udział w wielkich manewrach galicyjskich, aby niektóre ich momenta przenieść na płótno.

*** Gazety petersburgskie podają znów pogłoskę, że wkrótce na scenę małego teatru w Petersburgu zaangażowaną zostanie polska truppa dramatyczna z Warszawy na 30 przedstawień.

Pytanie tylko, jaka trupa?

*** Opera Henryka Jareckiego; „Mindowe“, która na naszej scenie znalazła poważne uznanie, jako dzieło znamionujące niepospolity talent młodego kompozytora, ma być podobno wystawioną na scenie warszawskiej, w sezonie zimowym.

*** Adelinę Patti usłyszy Warszawa po długich staraniach nareszcie.

Towarzyszyć jej będzie Nicolini.

Dyrekcja teatru zawarła już umowę ze słynną parą śpiewaków, którzy nie wystąpią jednak w operze, tylko w trzech koncertach południowych w teatrze wielkim.

*** W Brukselli, na konkursie muzycznym, pierwszą nagrodę otrzymała austrjacka kapela pułku jen. Ziemięckiego, złożona z 86 ludzi; drugą nagrodę wzięła kapela 14 belgijskiego pułku piechoty.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** *Ligotka.* Ponieważ ta stacja klimatyczno-hydropatyczna na Szląsku Austrjackim mało komu jest znaną, podajemy o niej kilka szczegółów:

Ligotka leży na południu od Cieszyna, o $1^1/_2$ mili od dworca kol. żel.

Droga bita i wygodna prowadzi przez malowniczą górską okolicę Hnojnika i Ropicy; miejscowość wzniesiona na 450 m nad powierzchnię morza, ma z jednej strony górę Godulę, z drugiej Kiczerę i Gronkę, tudzież mnóstwo strumieni i źródeł, ocienionych świerkowym i bukowym lasem. Kurz tu nieznany, bo jedyny trakt przechodzący przez Ligotkę, jest kamienistą drożyną, która po największych ulewach w kwadrans wysycha jak asfaltowy trotuar; resztę stanowią łąki i uprawione pola, lub górskie lasy.

Wieś ma 164 domów i przeszło 1.000 dusz ludności polskiej, przeważnie ewangielickiej, kościół z wieżą i zegarem, szkołę z dwoma nauczycielami, tytułowanemi tu jako *rektory*, parę zajazdów, rzeźnie, sklepy wiktuałów, 2 piekarzy i zakład hydropatyczny na nowo i wzorowo urządzony, w którym ordynuje dr. Jan Ziembiński z Krakowa.

Powietrze przy żętycy i wyśmienitym nabiale tak zbawiennie działa, że widziano chorych, bozwładnych, i obłożnych, którzy po trzech tygodniach przechadzali się o własnej sile.

Życie nader tanie; oprócz łatwego dostania się za parę guldenów z Cieszyna i to wygodnym powozem i po dobrej drodze, mieszkanie z 2 pokoi i kuchni, można mieć za 10 — 15 guldenów miesięcznie, usługa 3 guld. chętna, zwinna i czysta, opał tani, mięso codzień świeże 22 cnt. funt, bułeczki i rożki po 2 centy, chleb zytni wyśmienity, nawet lepszy od prądnickiego, mleka litr (4 szklanki) 7 cnt., masło świeże 30 cnt., brak tylko nowalij, ale się codziennie przywożą z Cieszyna.

Lecz co stanowi prawdziwy powab Ligotki, to stosunki z miejscową ludnością.

Łagodni, poważni, uprzejmi i czyści, mają zalety, które rzadko gdzie kmieć posiada; zamożność z małemi wyjątkami powszechna, oszczędność i praca ogólna, a trzeźwość wzorowa.

U gazdy wszystkiego dostać można za cenę umiarkowaną.

Ligotka jako letnie mieszkanie, posiada jeszcze tę zaletę, że ma rzemieślników doskonałych i sumiennych, a celuje między nimi Oszelda, mechanik, samouk, którego wynalazki mają figurować na wrześniowej wystawie w Cieszynie.

Obecnie mieszkańców letnich jest około 300 osób, a między nimi wiele rodzin lekarzy z Krakowa i Warszawy.

Izraelitów bardzo mało, zapewne ze względu, że miejscowych nie ma, którzyby dostarczali stołu i koszernego mięsa.

W restauracji jadło świeże i dobre, ceny więcej niż umiarkowane.

*** Rezultat ostatniego wielkiego wyścigu w Derby, przesłano z Londynu do Nowego Yorku w ciągu 25 sekund. Telegraf dzisiejszy zaczyna mierzyć się z błyskawicą.

*** Najdłuższym mostem w Europie będzie budowany obecnie na Wołdze, mający połączyć gub. Samarską z Syberją.

Rzeka w tem miejscu ma 7 kilom. szerokości.

Most kosztować będzie 17 miljonów rubli, czyli około 25 miljonów złr.

*** *Grunta w Stanach Zjednoczonych.* Miliony akrów (akr angielski = 0,7228 morgi naszej) w zachodnich stanach leżą prawie bez wartości i długo jeszcze nieużytecznemi pozostaną, jeżeli sztucznie nawodnianemi nie będą. Przestrzeń gruntów dziki step stanowiących, w terytorjach ziemi amerykańskiej wynosi 900 milionów akrów, z czego setnej części nawet dotąd nie sprzedano. Na 200 milionów akrów obliczają grunta górzyste, na których rolnictwo nie da się prowadzić korzystnie, choćby wody miało poddostatkiem. Inne 200 milionów akrów stanowią obszary pokryte lawą, żużlem, popiołami, na których żadna roślinność nie istnieje. Ale na pozostałych 500 miljonach akrów możnaby przy pomocy wody piękne otrzymywać zbiory. Spuszczając po prostu wodę z rzek na grunta, zmieniono już nie jeden dziesiątek tysięcy akrów w rolę orną; ale sposób ten dałby się zastosować zaledwie do 15 milionów na sto. Pozostałe 85% ziemi obecnie są tylko pastwiskami, na których wszelako roslinność jest tak uboga, że prawie żadnej nie przestawia wartości. Ażeby grunta te zmienić w pola orne, potrzeba je tylko zaopatrzyć w wodę. W ostatnich czasach wniesiono do rządu podanie o wywiercenie dwóch studni artezyjskich na wschodzie i trzech na zachodzie gór skalistych, rodzajem próby, która do wielkich rezultatów doprowadzić może, a mianowicie do uprawy wielkiej pustyni amerykańskiej.

*** *Owce w Japonji.* Owce przed kilkoma dopiero laty wprowadzone zostały do Japonji przez pewnego amerykanina. Kolonista ten posiada obecnie na folwarkach swoich trzodę z 4000 głów złożoną, rassy w ogóle mongolskiej. Przed kilkoma miesiącami obchodził on uroczyście rdcznicę urodzenia tysiącznego jagnięcia w Japonji, w której udział przyjmowali liczni dygnitarze miejscowi. W Japonji dużo jest jeszcze gruntów odłogiem leżących, hodowla więc owiec opłacać się może — wszelako z powodu klimatu mniej dla owiec właściwego, zaaklimatyzowanie ich na gruncie japońskim ma znaczne przedstawiać trudności.

*** *Fabryka mechaniczna pudełeczek tekturowych.* W Bostonie w Stanach Zjednoczonych, istnieje fabryka specjalna wyrabiająca pudełeczka bezpośrednio z masy papierowej. Pudełeczka te wychodzą wprost z machiny bez wszelkich szwów i klejenia, o jednostajnej wszędzie grubości. Machina robi wszystko sama, bez współudziału ręki ludzkiej, począwszy od przygotowania massy papierowej, a pudełeczka wyrzuca już gotowe w ilości 300.000 sztuk dziennie, produkując je daleko taniej, niż zwykłym sposobem ręcznym.

Statystyka.

*** W Serajewie wydano statystykę miejscowości i mieszkańców Bośnji i Hercegowiny, z której podajemy następujące szczegóły: Obie ziemie mają mieszkańców 1,158.440; a z tych prawosławnych 496.761, katolików 209.391, mahometan 448,613, żydów 3426, innowierców 249. Najwięcej mahometan żyje w Serajewie i w jego okolicy. Miasto to ma ludności 21.377, z których mahometan 14.848, prawosławnych 3748, katolików 698, żydów 2067. Okrąg Serajewski posiada miejscowości 1275, ludności zaś 149.209. Okrąg Banialucki miejscowości 853, ludności 190.533. Okrąg Bihacski miejscowości 589, ludnośi 176.716, Okrąg Trawnicki miejscowości 1148, ludności 184.404. Okrąg Zwornicki miejscow. 1289, ludności 268.520. Okrąg Mostarski miejsc. 1232, ludności 189.548. Gmin mają obydwa te kraje razem 1272, miast 43, miasteczek 31, wsi 5042. domów 189.662.

*** Zużycie cukru. P. Bivort, redaktor dziennika „Bulletin des Halles“, ogłosił poważne studjum nad ustawą cukrowniczą w rozmaitych krajach europejskich i w Stanach Zjednoczonych. W pracy tej zamieszczony jest ciekawy wykaz przeciętnego zużycia cukru w głównych krajach. Najwięcej zużywa cukru Wielka Brytanja, bo 22.500.000 centnarów rocznie, co odpowiada około 73 funtom na mieszkańca; Francja zużywa 6,625.000 centnarów, około $7^1/_2$ funtów na mieszkańca; Austro-Węgry 5.000.000 centnarów, około 14 funtów na głowę; Włochy 2,250.000 centnarów, około 8 funtów na głowę. Najmniej cukru zużywa Turcja, bo tylko 625.000 centnarów rocznie, czyli 2 i $^1/_3$ funta na mieszkańca. Stany Zjednoczone 40,000.000 centnarów rocznie a 41 funtów na głowę. Cała Europa potrzebuje roeznie 55,825.000 centnarów cukru, co wynosi średnio około 18 funtów na mieszkańca.

Odkrycia i wynalazki.

*** Jeszcze w roku zeszłym wspominaliśmy o wynalezieniu świecącej się farby, co wówczas narobiło dość dziennikarskiej wrzawy.

Wynalazek ten został zrobiony właściwie kilka już lat temu przez niejakiego p. Balmana, który jednak, nie mając ani poparcia ani odpowiednich funduszów, nie zdołał sam wprowadzić w czyn odkrycia, i zmarł w nędzy.

Po jego śmierci krewni, otrzymawszy w całym spadku tylko sekret wynalazku, lepiej potrafili rzecz wyeksploatować i sprzedali go za niewielką zresztą cenę domowi handlowemu Illet et Horn w Londynie.

Dom ten założył już fabrykę, w której jest wyrabiana „cudowna farba“.

Skład farby jest tajemnicą.

Preparat bywa przygotowywanym na oleju lub wodzie i w pierwszym razie nie ulega działaniu powietrza ani wody.

Kolor farby przy świetle dnia jest zupełnie biały, w nocy jednak, lub w ciemnem pomieszczeniu przedmioty nią pokryte wydają przyjemne różowo-fioletowe światło.

Jeżeli przedmiot pokryty świecącą farbą jest dostatecznych rozmiarów, światło wydawane przezeń bywa do tyla silne, że zupełnie zastąpić może oświetlenie świec albo lamp...

Przy świetle tem można zupełnie dogodnie czytać, pisać i w ogóle pracować...

To, co tu mówimy, wyglądałoby na niezręczną reklamę, zaczerpniętą z którego bulwarowego dzienniczka paryskiego, gdyby nie było poparte zdaniem londyńskiej „Society of arts“.

Na jednem z ostatnich posiedzeń tego stowarzyszenia, p. C. W. Heaton przeczytał obszerny referat o owym wynalazku i przedstawił mnóstwo przedmiotów, pokrytych świecącą się farbą.

Były to zegary, ozdoby gliniane, posążki, drobne sprzęty itp.

Największy efekt sprawiła statua wielkości naturalnej, przedstawiająca księcia - regenta, która dawała miłe, lecz silne światło, jak gdyby oświetloną była z wewnątrz.

W celu oświetlenia mieszkania farbą świecącą, pokrywać nią trzeba sufity lub ściany, a co nawet jest daleko lepszem, specjalne ekrany, w zupełności zastępujące lampy.

Przedstawiają one tę dogodność, że mogą być przenoszone z miejsca na miejsce.

Niektóre koleje żelazne w Anglji zamierzają podobno zastąpić dotychczasowy sposób oświetlenia, pomalowaniem sufitów cudowną farbą...

Dalej świecąca się farba znajdzie wyborne zastosowanie do... reklamy.

Tanio a nader efektownie będą nią oświetlane szyldy, ogłoszenia itd.

Na morzu jednak cudowna farba najznaczniejsze bezwątpienia odda usługi.

Liczne doświadczenia w tym względzie sprawdzają ten pewnik.

Każdy rozumie, jak ważnem jest odpowiednie oświetlenie wszelkiego rodzaju znaków, znajdujących się na mieliznach, w portach itd., a to właśnie jest zadaniem owej farby.

P. Heaton był obecny przy próbach dopełnionych w Erith nad pływakami morskimi, pokrytymi świecącą się farbą, które były widzialne zupełnie jasno i wyraźnie z odległości 90 metrów, dostrzegalne zaś na dalszej nawet przestrzeni...

Nadto „cudowna farba“ znajdzie zastosowanie przy oświetlaniu składów nafty, spirytusu, prochu i w ogóle materjałów wybuchających.

Oświetlenie tego rodzaju miejscowości dotąd używanemi środkami było nader niebezpieczne...

Widzimy przeto, że wynalazek ten może mieć nader obszerne znaczenie i że gotów on wywołać olbrzymi przewrót w rozlicznych stosunkach.

Olej, nafta, a nawet w części gaz, są w obec niego w niebezpieczeństwie, jest bowiem nadzieja, że zdoła je on wyparować z wnętrza domów...

Co się tyczy obszeruiejszego zastosowania nowego środka oświetlającego, wszystko zależy od tego, czy będzie można odpowiednio zwiększyć jego siłę...

Jeżeli się to uda — a twierdzą, że będzie się mogło udać — „cudowna farba“ zwycięży nawet światło elektryczne.

Podróże.

*** Dr. Holub sławny podróżnik afrykański, ukończył ostatni arkusz swego dzieła o Afryce i wybiera się w nową podróż. Przygotowania do tejże zabiorą 4—5 miesięcy czasu. Ostatnie dzieło Holuba: „Siedm lat w Afryce“ znalazło w południowo-afrykańskiej prasie angielskiej jak najlepsze przyjęcie.

*** Nordenskjöld zajęty jest opisywaniem przeprawy północno wschodniej. Dzieło to wyjdzie w osobnych wydaniach dla Szwecji, Norwegji i Danji, Niemiec, Francji, Anglji, Włoch, Ameryki, Holandji i Hiszpanji. O rosyjskie wydanie prowadzone są jeszcze rokowania. Drzeworytów dostarczy zakład W. Mayera.

*** Brytańskie towarzystwo balonowe odbywa praktyczne studja celem przyprowadzenia do skutku zamierzonej wyprawy polarnej; admiralicja nie zdaje się sprzyjać temu planowi.

*** Mr. Ismay, spólnik firmy liwerpolskiej Ismay, Imrie et comp., właściciel przedsiębiorstwa parowców europejskich „White Star Line“, zawitał świeżo do Nowego Yorku wraz z małżonką, po przebyciu nadzwyczajnej podróży.

Wsiadłszy dnia 13. marca w Liwerpolu na pokład parowca „Oceanii“ zwiedzili małżonkowie kolejno Suez, Point de Galle, Singapore, Honkong, Canton, Shangay i Yokohamę.

Z ostatniego portu wyruszyli d. 6. czerwca do San Francisco.

Stanąwszy w Nowym Yorku, obliczyli, iż w sześćdziesięciu sześciu dniach przejechali 22 320 mil.

Rachując, iż na powrót do Liwerpolu będą potrzebowali jeszcze 9 dni, wypadnie, że cała droga dokoła globu ziemskiego zajęła im dni 75, to jest o pięć mniej aniżeli potrzebował Juliusz Verne na swoją sławną „Podróż naokoło świata w 80 dniach.“

*** *Wyprawa portugalska do Afryki.* Współcześnie z p. Nordenskiöldem przybyli do Lizbony dwaj podróżnicy Afrykańscy: pp. Capello i Iwens, wracając z wielkiej swej wyprawy do Afryki środkowej. Obadwaj ci badacze, jak nieraz donosiliśmy, przed trzema mniej więcej laty wyruszyli razem z majorem Serpa Pinto a rozłączyli się w Bihe, w południowo środkowej Afryce. Serpa Pinto przeszedł ztąd w poprzek Afrykę południową, w kierunku wschodnim, Capello zaś i Ivens zwrócili się ku północy. Trzymali się oni łożyska rzeki Congo. Oni to wykryli źródliska Cuango, a mianowicie trzy mniejsze rzeki: Cuenzę, Cunenę i Loando. Wzdłuż koryta Cuango szli w północnym kierunku do 6. stopnia szerokości, bo rzeka ta po za ósmym stopniem wcale dotąd znaną nie była.

Jezioro Aquilonda narysowane na najnowszych nawet kartach Afryki, jak np. w atlasie Stichlera z 1879 roku — *wcale nie istnieje.* Na jego miejscu znajdują się tylko moczary, usiane tu i owdzie kałużami. Pojedyncze zbiorowiska wody są tu od siebie oddzielone wysokiemi górami. Podróżnicy odkryli także i oznaczyli mnogie dopływy Cuango z lewej strony. Opowiadają oni mnóstwo nieznanych szczegółów o obyczajach tamtejszych krajowców. Plemiona zamieszkujące okolice Kasandże ulegają naprzykład władzy naczelnika, zwanego jagą. Żeby zostać takim jagą, potrzeba zjeść przedewszystkiem potrawkę, zrobioną z uda wołowego, baraniego i murzyńskiego. Następnie jaga musi włożyć nogę we wnętrzności murzyna, umyślnie na ten cel zabitego, poczem zwłoki te przerzucić przez niezbyt szeroki strumień przy pomocy swoich ludzi. Przynoszą nakoniec trupa poprzednika nowego jagi i wkładają mu w usta ogon papugi. Ogon ten pozostaje w ustach zmarłego dopóty, dopóki zwłoki nie przejdą w zgniliznę. Otóż nowy jaga musi ten ogon wyjąć z ust swego poprzednika i włożyć go... w swoje.

MUCHY POSPOLITE.

Chcemy mówić o najpospolitszym owadzie, który mimo to najmniej jest znany i o którym szczegóły poniższe wyjmujemy z pracy p. F. Hément.

Przez długi czas niewiedziano w jaki sposób rozmnażają się muchy i sądzono z całą naiwnością że same z siebie rodzą się na psującem się mięsie, jako następstwo gnicia.

Przesąd ten trwał aż do czasu gdy Redi przez swe przekonywające doświadczenia przekonał, że muchy w pierwszym okresie swego rozwoju są to małe białe robaki bardzo znane i używane przez rybaków do łowienia ryb na wędkę. Muszka jest jakoby zawartą w robaku tak jak motyl w gąsienicy.

Redi wziąwszy kawałek mięsa zepsutego po którem łaziły pomienione białe robaki, włożył pod mały szklanny dzwon, i po kilku dniach widział, że robaki przemieniły się w muchy podobne do tych które widział latające około mięsa.

Doświadczenie to sprawdził umieszczając kawałek świeżego surowego mięsa w naczyniu szklannem szczelnie zamkniętem; mięso zepsuło się, lecz żadna mucha nie pokazała się.

Wtenczas Redi uczynił tak zwaną przeciwpróbę tego doświadczenia: wziął nowy kawałek mięsa surowego, owinął w cienką gazę i tak wystawł na napady much.

Zwabione wyziewami psującego się mięsa, a może wrodzonym instynktem wkrótce zaczęły brzęczyć na około ponęty. Lecz to właśnie co w tym wypadku zaszło, dowodzi, że muchy nie kierowały się pojęciem lecz instynktem, bo złożyły jaja na gazie. Otóż larwy wyszły, lecz wkrótce poginęły z głodu — mięso zaczęło gnić, lecz żadnych robaków nie wytworzyło. Wtedy to doktryna samowolnego tworzenia się poniosła cios śmiertelny, jak to zawsze bywa gdy nauka robi krok naprzód.

Réaumur powtórzył doświadczenia Redi'ego, dla sprawdzenia i uzupełnienia. Wziął jednę z niebieskich much, których piękność podziwiamy tem więcej im mniej nam zawadzają, uwięził ją pod szklanką przewróconą do góry dnem, pod którą umieścił kawałek surowego mięsa; mucha zaraz zaczęła przechadzać się po mięsie i w krótce zaczęła znosić jaja w niezliczonej ilości.

We 24. godzin później, z każdego jajka wyszedł mały robak bez nóg, miękki, elastyczny. Wszystkie te robaczki pożerały sumiennie potrawę, która zdawała się im bardzo smakować.

Małe robaczki rosły, a po kilku dniach przestały rosnąć i jeść, skóra na nich zaczęła twardnieć i przybierać ciemny kolor. W ten sposób stwardniała stanowi rodzaj mocnego pudełka, w którego wnętrzu znajduje się nowa istota zupełnie odczepiona od swej rodzimej skóry. W kilka dni później, z każdej skorupki wylatuje mucha podobnie jak motyl.

Pomijamy wiele zajmujących szczegółów tyczących się przemiany tego zwierzątka — sposobów jakich używa do pozbycia się osłony, która owija i zakrywa w połowie jego prawdziwe kształty — środków jakich używa mucha do wybicia drzwi swego naturalnego więzienia, by wylecieć na skrzydłach w powietrze.

Reaumur nie jest zwykłym badaczem; bierze się do swego przedmiotu wszechstronnie, przenika go i bada najprzód własnemi oczyma, później przy pomocy drobnowidza i tego oka jaśniej widzącego, to jest rozumu, bez którego niczego się więcej niedowiemy. Rozczłonkowywał muchy aby znaleźć w ich ciele jaja, które widział znoszone. Obserwował robaki podczas jedzenia i widział jak swemi haczykami szarpały mięso z tem większą łatwością im bardziej było zepsute, oraz muchy które jedząc cukier, najprzód maczały go rodzajem śliny; podobnież zwilżały śliną syrop, zbyt gęsty lub konfitury, aby przez rozcieńczenie ułatwić pochłanianie przez organizm.

Weźcie muchę złapaną pod szkło, dajcie jej malutki kawałeczek cukru i obserwujcie ją przez szkło powiększające; — obraca go i przewraca za pomocą swej trąby, dotyka z różnych stron, uchwyci w przednie nóżki, zbliża do pyszczka jak wiewiórka orzech.. Wilgoci go w jednym punkcie, rozpuszcza, robi wodę ocukrzoną, którą pije łapczywie — tę samą robotę prowadzi na innych punktach i po upływie mniej lub więcej dłuższego czasu zjada cały kawałek, choćby był tak wielki jak jej głowa. Spija płyny bez trudności jeśli są odkryte, jeżeli zaś ochronione jakim naskórkiem, przecina go i usuwa przeszkodę jaką znajduje.

Wiadomo z jaką łatwością muchy biegają po ciałach gładkich bez ślizgania się; mają one na kończynach swych nóżek rodzaj poduszeczek, które pozwalają im utrzymywać się z łatwością na lustrach i suficie; można je widzieć często zatrzymujące się dla potarcia swoich nóżek jedna o drugą zupełnie jak osoba myjąca ręce — później nacierają głowę ze wszystkich stron i z tych ruchów przypominają osobę zatrudnioną przy toalecie.

Należy wystrzegać się tych szkaradnych stworzeń, należy je odpędzać od twarzy, a szczególnie od śpiących osób, przychodzą bowiem zawsze ze złego miejsca i są zawsze gotowe złożyć swą odrażającą progeniturę. Otóż ta ostatnia nie omieszka zaatakować ciało które znajduje do swego użytku, a medycyna nie jeden wypadek śmierci notuje spowodowany przez larwy much.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 32.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.